



Zmieniajmy świat na lepsze

Kwiecień to miesiąc wyjątkowy. Większości z nas kojarzy się przede wszystkim ze świętami wielkanocnymi. Te dni niosą ze sobą nadzieję, radość i ciepło, które powinno również dotrzeć do każdej rodziny zgromadzonej przy świątecznym stole.

Ważne, aby znaleźć wtedy czas na rozmowy i rodzinne wspomnienia, odnaleźć wewnętrzny spokój i równowagę. Dobrze, kiedy potrafimy cieszyć się wspólnym przebywaniem i drobnymi rzeczami, tworzącymi nasze codzienne życie.

Może warto spotykać się częściej także poza świętami? Znaleźć czas na spontaniczne działania, podjąć nawet drobne inicjatywy na rzecz lokalnej społeczności, włączyć się w pomoc dla potrzebujących, samotnych. Zachęcam, aby każdy spróbował pomóc na swój własny sposób. Ważne też, aby czuć się potrzebnym i aktywnie uczestniczyć w zmienianiu swojego ukochanego kawałka świata.

Tak naprawdę dużo zależy od nas samych. Starajmy się myśleć pozytywnie, uśmiechajmy się częściej do ludzi. Czasem potrzeba niewiele, aby zmienić świat na lepsze.

* * *

Nowy numer pisma „Kniaza” przynosi kolejne ciekawe materiały zarówno wspomnieniowe, jak i te dotyczące bieżących wydarzeń. Od ubiegłego roku redakcji udało się nawiązać kontakt z kolejnymi byłymi mieszkańcami Koszół, jak również z rodzinami, których korzenie sięgają tej miejscowości.

Cały czas szukamy nowych tematów oraz staramy się przybliżyć zapomniane postaci związane z Koszółami.

W 2018 roku przypada 100. rocznica odzyskania niepodległości przez Polskę. Warto nadmienić, że kilku mieszkańców Koszół, było uczestnikami I wojny światowej. Jedną z takich osób jest Stefan Arseniuk. Urodził się w Koszółach. Syn Artema. Bombardier 35 artyleryjskiej brygady (2 dywizjon, 5 bateria). Poległ dnia 4 czerwca 1915 r. w bitwie pod Krasną Górą (obecnie obwód briański, Rosja).

Poszukujemy też informacji o Iwanie Tokarskim. Wiadomo, że urodził się 27 grudnia 1898 r. w Koszółach. Z zawodu był stolarzem. Przed II wojną światową mieszkał i pracował w Mińsku (Białoruskim). Aresztowany 10 października 1937 r. przez NKWD. Podczas szybkiego procesu został oskarżony, jako „polski agent wywiadu”. Rozstrzelany 09.12.1937 r. Zrehabilitowany 28.04.1989 r.

W planach redakcji jest również publikacja biogramu inż. Józefa Łojewskiego. Urodził się 14.01.1909 r. w Koszółach. Przedwojenny absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Po wojnie wyjechał na Górny Śląsk. Pracował w kopalni w Gliwicach. Zmarł 15.04.1987 r. Pochowany na Centralnym Cmentarzu Komunalnym w Gliwicach. Miał żonę Mariannę (1919-2004) z którą miał dwie córki: Danutę i Krystynę (obie niestety już nie żyją). W ostatnim czasie redakcji udało się skontaktować z dr. Sławomirem Pakułem, który jest prawnikiem inż. Łojewskiego. Obecnie mieszka w Gliwicach, gdzie pracuje jako lekarz patomorfolog w Zakładzie Patologii Nowotworów Centrum Onkologii w Gliwicach.

Z kolei w listopadzie 2016 r. kontakt z redakcją nawiązał Bogdan Kołodziejczyk z Warszawy, którego mama, Barbara Eugenia Remesz (zm. 2008 r.) pochodziła z Koszół. Jego babcia (Antonina



Dawny cmentarz unicki w Koszółach. Fot. WE.





Remesz) została w lipcu 1942 r. wraz z całą rodziną rozstrzelana przez niemiecką żandarmerię. Do historii tej powrócimy w najbliższym numerze, publikując wspomnienia Joe Remesza (ur. 1931 r.), znanego w Kanadzie dziennikarza radiowego. W 2013 r. wydał on książkę pt. „Daddio Joe on the radio”, gdzie wiele miejsca poświęcił Koszółom i rodzinie Remeszów. Jego ojciec po I wojnie światowej wyjechał z Koszół i osiedlił się w mieście Bonnyville (Kanada).

Po raz pierwszy na łamach pisma „Kniaża” publikujemy wspomnienia pochodzącego z Koszół Ryszarda Bessaraby. Od ponad 30 lat jest prawnikiem, radcą prawnym, właścicielem kancelarii prawniczej Bessard-Consulting w Warszawie, autorem i współautorem ponad 20 książek z zakresu m.in. prawa pracy.

Ponadto, zamieszczamy fragmenty wspomnień Krystyny Tomaszewskiej, która dzieciństwo spędziła w Koszółach. Urodziła się w 1937 r. w Brześciu nad Bugiem, ale zawirowania wojenne sprawiły, że musiała opuścić rodzinny dom i uciekać. Przebyła bardzo długą drogę, aby w końcu osiąść w Lidzbarku Warmińskim. Tam też założyć rodzinę, a obecnie udostępnia turystom i zainteresowanym pokoje gościnne w tym mieście. Pani Krystyna pisze obecnie swoją autobiografię, której fragmenty publi-

kujemy za jej zgodą. Być może książka ukaże się już w przyszłym roku.

Po raz kolejny publikujemy wspomnienia pochodzącego z Koszół, prof. Wacława Nazarewicza, emerytowanego fizyka Uniwersytetu Warszawskiego. Tym razem Profesor podzielił się z nami informacjami dotyczącymi funkcjonowania szkoły w Koszółach po 1937 r.

W kolejnym numerze pisma „Kniaża” ukaże się wspomnienie o zmarłym w kwietniu 2016 r. Wiesławie Józefie Muszyńskim. Urodził się w 1944 r. w Koszółach. Przez wiele lat był nauczycielem przedmiotów elektrycznych w technikum. Na emeryturze poświęcił się pracy dziennikarskiej, napisał też kilka książek. Przez lata był zaangażowany w działalność harcerską (podharc mistrz). Ponadto był kronikarzem, strażakiem, radnym gminy Celestynów, zasłużonym działaczem społeczno-kulturalnym i regionalnym. Od 1968 r. mieszkał w Celestynowie koło Otwocka (woj. mazowieckie), gdzie został pochowany.

Również w następnym numerze planujemy przywrócić pamięci współczesnych postaci Władysława Bondaruka (1912-1942). W 2017 roku minęła 75. rocznica jego tragicznej śmierci. W okresie okupacji, za ukrywanie dziewczynki żydowskiej został rozstrzelany przez Niemców. Dzięki relacji jego córki

udało się ustalić kilka nieznanych dotąd faktów. Niestety, po dziś dzień nie został on w żaden sposób uhonorowany, ani upamiętniony.

Planujemy również opublikować wspomnienie o Sewerynie Grabowskim (1811-1882), jednym z ostatnich właścicieli majątku Koszóły, poruczniku pułku grenadierów, uczestniku powstania listopadowego (1830-1831), odznaczonym Krzyżem Srebrnym Virtuti Militari. Po powstaniu styczniowym pełnił funkcję radcy Dyrekcji Szczegółowej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Pochowany został na cmentarzu parafialnym w Huszcy.

Po raz kolejny zachęcamy wszystkich do współpracy i tworzenia pisma. Namawiamy do nadsyłania tekstów, materiałów wspomnieniowych, zdjęć. Łamy czasopisma są otwarte dla wszystkich, którzy czują związek z miejscowością Koszóły.

Z okazji Świąt Wielkanocnych, Redakcja składa wszystkim mieszkańcom Koszół, Czytelnikom naszego pisma, sponsorom, członkom i sympatykom Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Tłoka”, najszczerze życzenia zdrowia, spełnienia marzeń i samych pomyślnych dni.

Sławomir Hordejuk

II Wieczór z kołędą w Koszółach

W niedzielę 15 stycznia 2017 r. w świetlicy wiejskiej w Koszółach odbył się piękny koncert kołęd w wykonaniu zespołów z gminy Łomazy i powiatu bialskiego. Spotkanie zorganizował zespół „Luteńka” z Koszół oraz Gminny Ośrodek Kultury w Łomazach.



Podczas wieczoru swoje talenty zaprezentowało 8 kapel: „Studzianczanie” ze Studzianki, „Macierz” z Ortele Królewskiego, „Biesiadnicy” z Żeszczanki, „Tęcza” z Dąbrowicy Dużej, „Śpiewam bo lubię” z Łomaz, „Dworzanki” z Ko-

lonii Piszczac, „Pohulanka” z Kopytnika, Dzieci i Rodzice ze Szkoły Podstawowej w Huszcy pod opieką p. Danuty Nazarewicz

Publiczność przy suto zastawionych stołach bawiła się przez cały wieczór wy-

śmienicie. Po koncercie Wójt Gminy Łomazy Jerzy Czyżewski wręczył wszystkim wykonawcom w podziękowaniu pamiątkowe dyplomy.

*Tekst: radiobiper.info
Fot. Małgorzata Mieńko*



Festyn rodzinny w Koszółkach

Udany, pomimo kapryśnej pogody

Wzorem lat ubiegłych także na placu przy szkole w Koszółkach 17 lipca 2016r. odbyła się impreza zorganizowana przez Stowarzyszenie Społeczno- Kulturalne TŁOKA oraz GOK Łomazy pod hasłem „TŁOKA – radość dzieciom” pod patronatem Wójta Gminy Łomazy Jerzego Czyżewskiego.

Choć kapryśna pogoda próbowała popsuć organizatorom szyki, V Festyn Rodzinny odbył się zgodnie z planem. Na przeszkodzie do zabawy w plenerze dla licznie przybyłych gości nie stanęły nawet opady deszczu i grzmoty. Piknik zaszczylicili swoją obecnością Wójt Gminy Łomazy Jerzy Czyżewski wraz z żoną oraz dzieci, młodzież i dorośli z gminy Łomazy i okolic.

Obchody tego święta rozpoczęły się o godz. 12.00 w Kościele parafialnym w Huszcy wspomnieniem o Feliksie Czubli w dwudziestą rocznicę śmierci. Był on mieszkańcem Koszół, poetą, ułanem, zasłużonym działaczem społeczno-kulturalnym oraz animatorem wielu lokalnych inicjatyw.



Impreza integracyjna na świeżym powietrzu rozpoczęła się o godz. 15.00 przy szkole w Koszółkach. Głównym punktem jej programu było oficjalne otwarcie obiektu sportowego w ramach realizacji projektu „Centrum sportu i rekreacji w Koszółkach” z programu „Lubelskie Lokalnie - Mikrodotacje FIO” finansowanego ze środków Funduszu Inicjatyw Obywatelskich, którego autorami są Danuta Nazarewicz i Elżbieta Wołosowicz. Przy pomocy pozyskanych środków finansowych wyposażono boisko sportowe w nowe siatki na bramki do gry w piłkę nożną, kosze do gry w koszykówkę, siatkę do gry w siatkówkę i zestaw piłek oraz doposażono utworzony w ubiegłym roku plac zabaw (rów-

niez ze środków FIO) o karuzelę platformową z kierownicą i bujak sprężynowy.

Dzięki świetnej lokalizacji placu zabaw i boiska sportowego na terenie po byłej szkole podstawowej powstało atrakcyjne „Centrum Sportu i Rekreacji w Koszółkach” do wypoczynku dla lokalnej społeczności i turystów. Realizacja wspomnianego projektu nie byłaby możliwa bez mieszkańców Koszół. To dzięki ich wielkiemu zaangażowaniu i bezinteresownej pracy udało się osiągnąć wytyczony cel. Wspólnymi siłami mieszkańcy odnowili boisko sportowe i doposażyli plac zabaw. Uporządkowali teren po byłej szkole podstawowej, odświeżyli znajdujące się na placu zabaw i boisku stare sprzęty, odrestaurowali stare ławki, oraz zamontowali regulamin korzystania z boiska sportowego.

Podczas otwarcia obiektu sportowego nie mogło zabraknąć licznych atrakcji sportowych na świeżym powietrzu, odbyła się I Rodzinna Olimpiada Sportowa - gra w piłkę nożną, gra w piłkę siatkową oraz gra w kosza. Zwycięscy i uczestnicy rozgrywek zostali nagrodzeni przez organizatorów nagrodami ufundowanymi przez Wójta Gminy Łomazy. Prowadzenie konkursów sportowych wsparły panie z grona pedagogicznego ze Szkoły Podstawowej w Huszcy.

Największą popularnością wśród dzieci cieszyła się dmuchana zjeżdżalnia, duże bańki mydlane, malowanie twarzy i rozrywki na placu zabaw.

Uczestnicy pikniku mogli podziwiać występy artystyczne dzieci ze Szkoły Podstawowej w Huszcy, które wierszem i piosenką podkreśliły ważną rolę rodziny, zatańczyły Zumbę. Dzieci i młodzież z GOK w Łomazach wystąpiły z repertuarem wokalnie - muzycznym.

Ogłoszono wyniki konkursu plastycznego „Moja ulubiona dyscyplina sportowa”. W konkursie uczestniczyło 47 dzieci ze Szkoły Podstawowej w Łomazach i Szkoły Podstawowej w Huszcy. Wszyscy przybyli uczestnicy otrzymali dyplomy i nagrody, które zostały sfinansowane ze środków FIO.

Tradycyjnie na okoliczność festynu w Koszółkach regionalista Sławomir Hor-

dejuk wydał kolejny numer pisma „Kniaża”, w którym zamieścił artykuły dotyczące wsi Koszóły i jej mieszkańców.

Nie zabrakło też atrakcji kulinarnych. W kawiarence prowadzonej przez stypendystki z programu „Stypendia Pomostowe”, można było częstować się pajądą chleba ze smalcem i ogóreczkiem, kawą, herbatą i ciastem, napojami, cukierkami i owocami. Te pyszności i smakołyki zostały przygotowane przez Panie z Koszół. Były też darmowe pieczone kielbaski z rożna, które serwowali panowie z Koszół. Inne atrakcje tj.: wata cukrowa, popcorn, lody można było zakupić przy stoiskach handlowych. Festyn zakończył się potańcówką na trawie przed budynkiem Szkoły Podstawowej, przy muzyce zespołu „Koncert”.



Stowarzyszenie Społeczno Kulturalne „Tłoka” Radość Dzieciom oraz cała społeczność Koszół składa wszystkim serdeczne podziękowania za pomoc oraz okazane wsparcie w organizację środowiskowej imprezy integracyjnej Piknik Rodzinny „Ułani, ułani.....”. Szczególne podziękowania należą się sponsorom: Krzysztofowi Łojewskiemu - Prezesowi Banku Spółdzielczego w Łomazach, Zbigniewowi Gołosiowi - „Mars” Delikatesy Centrum Łomazy, Krzysztofowi Łojewskiemu - Zakład Przetwórstwa Mięsnego Włodawa, Firmie Handlowej „Panda” z Białej Podlaskiej, „Komunalnikowi” Biała Podlaska, ZDR w Wisznicach.

Tekst i fot. WE



Relacja z programu „Lato na wsi 2017”

W okresie wakacyjnym w Centrum Sportu i Rekreacji w Koszółkach odbywały się zajęcia dla dzieci według programu „Lato na wsi 2017”. Zajęcia przeprowadzono po raz drugi, trwały 16 godz., odbywały się w czwartki w miesiącu lipcu i sierpniu. W 2016 roku cieszyły się bardzo dużym zainteresowaniem dzieci i rodziców, dlatego inicjatorka i koordynatorka programu Danuta Nazarewicz wraz ze Stowarzyszeniem Społeczno-Kulturalnym „Tłoka” w Koszółkach postanowiła je kontynuować. Ich realizację objął patronatem Wójt Gminy Łomazy Jerzy Czyżewski, a współpracą Komisja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych w Łomazach w ramach kampanii „Zachowaj Trzeźwy Umysł”. Duży wkład w organizację zajęć wnieśli rodzimieszkańcy Koszół. W formie wolontariatu przygotowali teren na placu zabaw i boisku sportowym oraz doprowadzili wodę i wysprzątaali sale do zajęć w budynku byłej szkoły. Zajęcia prowadziła emerytowana nauczycielka Pani Elżbieta Tokarska, podczas których dzieci rozwijały swoje umiejętności plastyczne i kulinarne, doskonaliły wiedzę na temat bezpieczeństwa w ruchu drogowym i szkodliwości różnych używek, bawiły się na placu zabaw i sali zabawowej, grały w piłkę na boisku sportowym oraz ćwiczyły na mini sali gimnastycznej. Wzięły udział w konkursie plastycznym „Moje wakacje na wsi”.

Wszyscy uczestnicy konkursu otrzymali nagrody rzeczowe i dyplomy. Zajęcia promowały zdrowy i aktywny tryb życia. Kształtowały postawę „nie” przemocy, narkomanii, alkoholizmowi. W ostatnim dniu zajęć dzieci bawiły się przy ognisku. Piekły kielbaski, piły napoje, jadły ciasteczka i lody oraz grały w badmintona, kręciły koło hula-hop, skakały na skakance. Największą atrakcją były przygotowane przez Panią Magdalenę Adamską bańki mydlane oraz malowanie twarzy i włosów. „Lato na wsi 2017”



Uczestnicy akcji „Lato na wsi 2017” wraz z opiekunami.



bardzo się podobało. Dla dzieci okazało się wspaniałą wakacyjną przygodą.

Organizator wakacyjnych zajęć skła-

da serdeczne podziękowania wszystkim, którzy przyczynili się do ich organizacji.

Fot. Danuta Nazarewicz



Dzień Strażaka w Koszółach

30 kwietnia 2017 roku na placu przy remizie Ochotniczej Straży Pożarnej w Koszółach miały miejsce uroczystości związane z III Gminnym Dniem Strażaka. W tym roku organizatorem była OSP w Koszółach przy współudziale Zarządu Oddziału Gminnego Związku OSP RP w Łomazach.



Święto rozpoczęła zbiórka pocztów sztandarowych na placu przy remizie. Chwilę później rozpoczęła się uroczysta msza święta celebrowana przez księdza Jacka Owsiankę, proboszcza parafii p.w. Chrystusa Miłosiernego w Białej Podlaskiej. Po mszy św. nastąpiło przywitanie przez Wójta Gminy Łomazy Pana Jerzego Czyżewskiego przybyłych na uroczystość: ks. Jacka Owsiankę, Zastępcę Komendanta Miejskiego PSP w Białej Podlaskiej mł. bryg. Marka Chwalczuka, Dyrektora Biura Terenowego Związku OSP RP w Białej Podlaskiej Panią Bożenę Krzyżanowską, Radnego Rady Powiatu Białskiego Pana Mateusza Majewskiego, Wiceprezesa Zarządu Oddziału Gminnego Związku OSP RP w Łomazach, Druha Krzysztofa Łojewskiego i Druha Tadeusza Stankiewicza, Przewodniczącą Rady Gminy Łomazy Panią Małgorzatę Derlukiewicz, Dyrektora Gminnego Ośrodka Kultury w Łomazach Pana Ryszarda Bieleckiego, Komendanta Gminnego OSP w Łomazach Druha Romana Stanilewicza, Strażacką

Orkiestrę Dętą z Łomaz, Poczty sztandarowe z jednostek OSP Dubów, Huszcza i Łomazy oraz strażaków i wszystkich przybyłych na uroczystość, a także sponsorów uroczystości:

Pana Tadeusza Bańkowskiego – Prezesa Gminnej Spółdzielni „Sch” w

Łomazach oraz Pana Krzysztofa Łojewskiego – Prezesa Banku Spółdzielczego w Łomazach.

Podczas wystąpień głos zabrał również Wiesław Nazarewicz, prezes OSP Koszóły, który mówił o znaczeniu Ochotniczych Straży Pożarnych dla lokalnej społeczności: „OSP Koszóły jest bardzo aktywna, do pożarów, do organizowania takich imprez jak dzisiejsza, do właściwie każdej akcji można na nas liczyć”.

Po oficjalnym przywitaniu nastąpiło wręczenie odznaczeń resortowych druhom. Z Koszół odznaczeni zostali: odznaką Strażak Wzorowy - Patryk Nazarewicz; za 40 lat w straży - Wiesław Nazarewicz; za 30 lat w straży - Mirosław Pilipuk.

Po ceremonii odznaczeń nastąpił występ grupy wokalnejszy „Luteńka” z Koszół oraz Strażackiej Orkiestry Dętej OSP z Łomaz. W trakcie trwania uroczystości można było delektować się strażacką grochówką oraz kiełbaskami.

Źródło: www.lomazy.pl





Plany, marzenia, działania w celu „przywrócenia do życia” budynku szkoły w Koszołach

Szkoła w Koszołach jest obiektem dziedzictwa kulturowego i historycznego lokalnej społeczności. Była budowana przy współudziale mieszkańców wsi jeszcze przed II wojną światową, na terenie byłego cmentarza i cerkwi unickiej.



Budynek dawnej szkoły podstawowej w Koszołach (nieczynna od 2008 r.).
Fot. stan współczesny.

Lokalni działacze i osoby zaprzyjaźnione, wspierające (nawet z drugiego końca Polski), wierzą głęboko, że „chcieć, to móc”, a ponieważ nie raz Mieszkańcy udowodnili, że mają ogromny potencjał twórczy i sprawczy, te inicjatywy mają duże szanse na powodzenie. Do tego wszystkiego dochodzi również wartość bogatej historii miejscowości, którą można dzięki temu bardziej rozślawić, co przy konkretnej pracy, może zaowocować pięknym dziełem społecznym.

Dlatego członkowie Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Tłoka” i inne osoby, którym na sercu leży jej los, podjęły działania w kierunku ożywienia tego miejsca na nowo. Na wiosnę SSK „Tłoka” zostało zaproszone do udziału w tworzeniu Lokalnego Programu Rewitalizacji Gminy Łomazy. W wyniku przeprowadzonej diagnozy społecznej, Koszoły znalazły się na obszarze rewitalizacji, dlatego można było składać „twardy” projekt do Urzędu Marszałkowskiego na Działanie 13.4 „Rewitalizacja obszarów

wiejskich”. Wniosek został zatytułowany „Termomodernizacja budynku szkoły w Koszołach i zagospodarowanie terenu wokół w celu otwarcia i działania Terapeutyczno-Edukacyjnego Ośrodka pn. Szkoła Relacji”. Termin rozstrzygnięcia konkursu planowany jest na początek 2019 roku. Niezależnie od jego wyników, Stowarzyszenie i osoby sympatyzujące

z tym pomysłem, będą działać „małymi kroczkami”, aby spełnić marzenia o ocaleniu tego dziedzictwa, m.in. poprzez tworzenie, realizację „miękkich projektów i inicjatyw społecznych. W planach jest również stworzenie Klubu Integracji Społecznej oraz Klubu Seniora, a także świetlicy dla dzieci itp.

Wójt Gminy Łomazy Jerzy Czyżewski, Rada Gminy oraz Mieszkańcy wsi, zgodzili się na zawarcie ze Stowarzyszeniem umowy użyczenia budynku, dzięki temu będzie można przekuć te plany i marzenia w rzeczywistość. Te decyzje zostały poprzedzone spotkaniami i konsultacjami społecznymi oraz zapoznaniem się z dobrymi praktykami funkcjonujących aktywnie i owocnie ośrodków o podobnej specyfice.

Wszystkie osoby, które chciałyby zaangażować się w realizowanie tych działań w jakikolwiek sposób, poprzez np. wnoszenie nowych pomysłów, wkład pracy własnej lub rzeczowy i finansowy, serdecznie zapraszamy do współpracy.

Magdalena Adamska



Spotkanie członków SSK „Tłoka” z mieszkańcami oraz władzami gminy, 10.12.2017 r. Fot. M.A.



Historia szkoły w Koszołach (cz. 3)

Odtworzenie dziejów dotyczących szkoły w Koszołach w okresie poprzedzającym II wojnę światową oraz obejmującym okres okupacji nie jest zadaniem łatwym. Wobec braku zapisów w kronice szkolnej, która kończy się na roku 1937, zmuszony jestem do sięgnięcia pamięcią do czasów bardzo dla mnie już odległych.

Mój kontakt ze szkołą w Koszołach (przed wojną mówiono szkoła powszechna) zaczął się w 1937 roku, kiedy to rozpocząłem naukę w I klasie. Następnie uczęszczałem do kolejnych klas, kończąc szkołę na klasie V w roku szkolnym 1941/42. Wówczas więcej klas w Szkole Powszechnej w Koszołach nie było. Dalsza moja nauka odbywała się w Szkole Powszechnej w Huszcy (klasa VI), a następnie w Szkole Powszechnej w Łomazach (klasa VII). Szkołę Powszechną ukończyłem w czerwcu 1945 r.

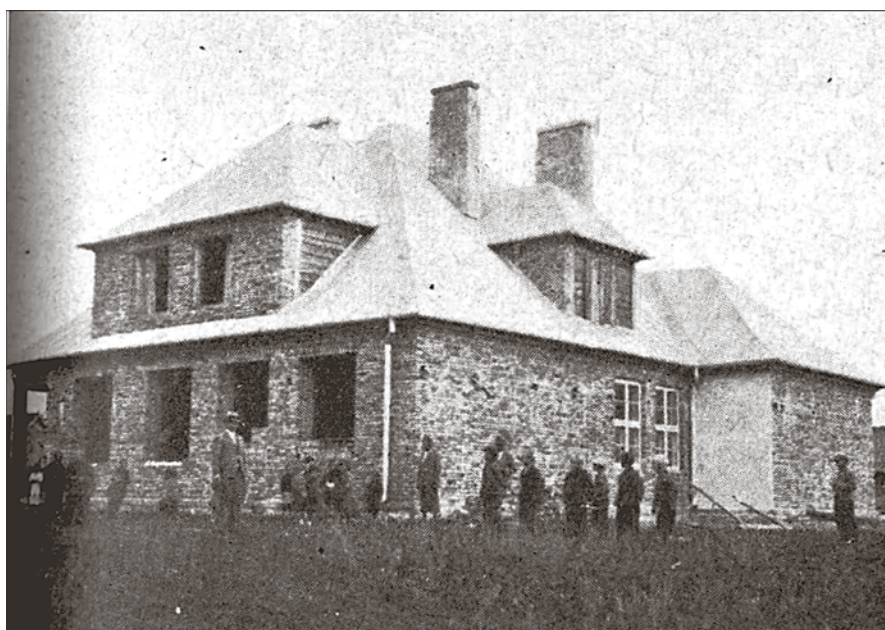
Moje uwagi na temat szkoły w Koszołach wynikające z bezpośrednich obserwacji jako ucznia mogą odnosić się tylko do lat 1937-1942. O dalszych latach mogę tylko coś powiedzieć jako mieszkaniec Koszoł do 1951 roku, w którym to roku wyjechałem z Koszoł na studia. Po wyjeździe z Koszoł nie śledziłem spraw szkoły w Koszołach i nie mam na ten temat wiadomości.

Zacznę moje uwagi od 1937 roku. (rok szkolny 1937/1938, w którym rozpocząłem naukę w klasie I). Szkoła w Koszołach mieściła się wówczas jeszcze w starym, drewnianym budynku, pokrytym strzechą, który prawdopodobnie pochodził jeszcze z czasów carskich. Budynek ten znajdował się w części wsi zwanej „końcem” i był usytuowany wtedy mniej więcej naprzeciw domu i kuźni kowala o nazwisku Kowaleńko. Kierownikiem Szkoły był pan Marian Wójcik, a jego żona pracowała jako nauczycielka. Prawdopodobnie Szkoła miała wówczas tylko cztery klasy.

W roku szkolnym 1938/1939 do klasy II chodziłem już do nowej, murej, pokrytej blachą szkoły, którą zbudowano na miejscu cerkwi spalonej w 1915 roku. Szkoła ta miała już pięć klas. Kierownikiem szkoły nadal był pan Wójcik. W roku szkolnym 1939/1940, gdy miałem rozpocząć naukę w klasie III wybuchła wojna i działalność szkoły została zawieszona. Kierownik szkoły



*Budowa szkoły powszechnej w Koszołach. Fot. Jan Makaruk, ok. 1938 r.
Ze zbiorów Działu Regionalnego Miejskiej Biblioteki Publicznej w Białej Podlaskiej.*



został powołany do wojska i wrócił do Koszoł dopiero po kilku miesiącach. W tym roku szkolnym nie było formalnych lekcji, ale pamiętam, że w porze zimowej zbierała się w szkole grupa dzieci (dziesięcioro lub trochę więcej). Dzieci te słuchały czytanej na głos książki, bądź

uczestniczyły w jakichś grach.

W następnym roku szkolnym (1940/1941) Szkoła działała z dużymi ograniczeniami. Najpierw została zawieszona z powodu dużych mrozów oraz zasp śnieżnych, a potem z powodu pojawienia się dużej liczby wściekłych



psów, co było dużym zagrożeniem dla dzieci. Następnie w okresie wiosennym przez miesiąc lub półtora miesiąca szkoła i wiele domów w Koszalach było zajętych przez wojsko niemieckie, które zgrupowano przed uderzeniem na Związek Radziecki. W domu mego ojca zakwaterowano wówczas 20 żołnierzy niemieckich.

W następnym roku szkolnym (1941/1942) w miesiącach jesiennych i zimowych panowała w Koszalach epidemia tyfusu, która spowodowała śmierć wielu ludzi. Miało to też jakiś wpływ na działalność szkolną, ale nie pamiętam już szczegółów. Niektóre szkoły (m.in. w Tucznej) były zajęte na szpital dla cho-

rych na tyfus. Pomimo tego, że szkoła po wybuchu wojny przez jakieś 3 lata działała w ograniczonym zakresie otrzymaliśmy jednak świadectwa z poszczególnych klas.

Po wojnie państwo Wójcikowie rozwiedli się i oboje wyjechali z Koszół.

Kierownictwo szkoły w Koszalach objął pan Burek, który przeniósł się do Koszół ze szkoły w Piszczacu. Nie potrafię określić dokładnie, w którym to było roku. Mogło to być zaraz po zakończeniu wojny lub jakiś czas później. Szkoła po wojnie uzyskała status szkoły 6-cio klasowej i zatrudniono w niej więcej nauczycieli, ale nie potrafię podać szczegółów. W późniejszych latach szkoła w

Koszalach miała 7, a następnie 8 klas.

Warto wspomnieć, że w pierwszych latach powojennych była prowadzona akcja likwidacji analfabetyzmu. W szkole w Koszalach odbywał się kurs nauki czytania i pisania dla dorosłych, obowiązujący do któregoś roku życia. Tylko tyle wydobyłem z mojej pamięci na temat szkoły w Koszalach w tamtych odległych latach. Nadmienię jeszcze, że stara szkoła drewniana po wojnie nie była używana do celów szkolnych. Nie było zresztą takiej potrzeby. Stała ona jednak przez pewien czas zanim ją rozebrano.

Wacław Nazarewicz

Miejsca i akty zbrodni na Polakach niosących pomoc innym ludziom – konferencja

15 listopada 2017 r. w IV Liceum Ogólnokształcącym im. Stanisława Staszica w Białej Podlaskiej odbyła się konferencja pt: „Rejestr miejsc i aktów zbrodni na Polakach niosących pomoc innym ludziom”.

Konferencja była podsumowaniem projektu realizowanego w ramach przedsięwzięcia podejmowanego na rzecz dialogu i porozumienia w stosunkach polsko – rosyjskich w VI Otwartym Konkursie. Konferencja została zorganizowana przez Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „TŁOKA” we współpracy z Centrum Polsko – Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia w Warszawie.

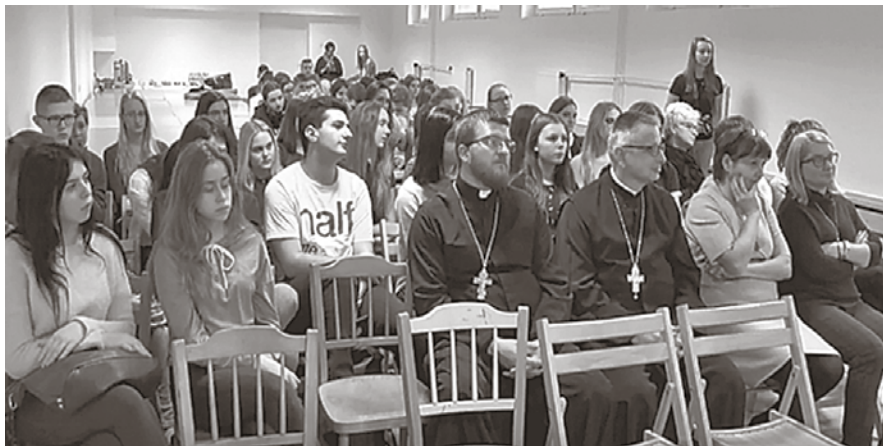
– Od kilku lat przypadają różne

okrągłe rocznice związane z I i II wojną światową i wydarzeniami wokoło związanymi, a my zawiązaliśmy taką pracę wokół miejsc pamięci, szeroko rozumianych. Zaczęliśmy od strony internetowej, stworzyliśmy ścieżkę dydaktyczną dotyczącą miejsc pamięci, miejsca dokumentowaliśmy zdjęciami. To, co bezpośrednio jest dzisiaj prezentowane na podsumowaniu pracy projektowej, to są ofiary, które zginęły za pomoc jeńcom radzieckim –

mówi Renata Lenz, nauczyciel historii w IV LO im. Stanisława Staszica w Białej Podlaskiej.

– Dzisiaj zamykamy drugą część projektu, który rozpoczęliśmy w roku ubiegłym, poświęconą jeńcom radzieckim, którzy znajdowali się tutaj w obozach w frontstalagach 307 i 366 Z. W tym roku zajmujemy się drugą stroną tego dramatu wojennego, ludźmi, którzy zginęli, zostali zabici przez Niemców za to, że pomagali przeżyć innym ludziom. W okolicach Białej Podlaskiej zginęło za to ponad 200 osób – mówi Cezary Nowogrodzki, prezes Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „TŁOKA”.

Tekst Jakub Sowa, Radio BiPeR
Fot. Małgorzata Mienko



P.S. Warto nadmienić, że w samych Koszalach było kilka osób, które za pomoc i ratowanie innych, zginęły z rąk Niemców (m.in. rodzina Remeśzów oraz Władysław Bondaruk).



Z potrzeby serca

W pewnym wieku każdy z nas coraz częściej myślami powraca, do lat dzieciństwa i młodości. Wprawdzie przez całe swoje życie wspominałam te lata, ale tak naprawdę, dotknęła mnie ta – duchowa tęsknota serca – bo tak to mogę nazwać.

Tęsknota i wspomnienia do tamtych miejsc i wydarzeń była coraz częstsza, coraz częściej stawały mi przed oczyma obrazy z tamtych lat – przeżyte w Łomazach i Koszalach. Jawiło się to jednak wszystko bardziej kolorowo – pięknie. Widziałam przesuwające się kolorowe widoki ogrodów, kwitnących sadów i łąk oraz szeregi drewnianych parterowych domków usytuowanych przy wąskich uliczkach – oświetlonych pełnią słońca i przezroczystym błękitem nieba. Czułam nawet zapach tych wszystkich miejsc. Było pięknie i spokojnie, jakby wszystko było pogrążone w lekkiej drzemce. Wszystkie złe wspomnienia nabrały, jakby łagodniejszego wyrazu i zostały odsunięte na mało znaczący dalszy plan. Coraz częściej wpadałam w błogi stan zadumy i rozrzwinięcia.

* * *

Inspiracją do spisania wspomnień z mego życia byli moi wnukowie, którzy coraz częściej domagali się opowieści o tym, jak to dawniej bywało, kiedy byłam dzieckiem, jak dorastałam i jak toczyło się moje życie dorosłe.

Ja z kolei tłumaczyłam, że w paru zdaniach nie da się opowiedzieć, jakby nie było osiemdziesięciu lat jakie przeżyłam, solennie jednak obiecałam, że kiedyś to wszystko opiszę (...).

Wszystko zaczęło się 17 maja 1937 roku w Brześciu nad Bugiem, w mieście, które znajdowało się w granicach drugiej Rzeczypospolitej Polskiej, i jak wiele innych miast na wschód od rzeki Bug, było miastem polskim (obecnie przynależy do Białorusi).

Urodziłam się w szpitalu żydowskim w czasie, kiedy w Brześciu trwał bojkot Żydów. Rozbijano wystawy sklepów, demolowano kina, teatry i inne budynki należące do społeczności żydowskiej. Był to protest nacjonalistycznych partii polskich przeciwko przejściu pra-

wie całego handlu, wielu zawodów rzemieślniczych, kin, teatrów, restauracji itp. i wypieranie Polaków z życia gospodarczego i nie tylko.

Tak to wszystko wówczas interpretowano, nie wiem do końca czy słusznie. Zakładano tylko niszczenie mienia żydowskiego, ale jak to zwykle w takich wypadkach bywa, nie obeszło się bez rabunków i pobić. Takie sytuacje zawsze są wykorzystywane przez elementy przestępcze.

Nic więc dziwnego, że mama strasznie się bała rodzić w tym właśnie szpitalu, ale nie miała innego wyjścia, ponieważ w innym nie było miejsca, a ja pchałam się na ten świat. Z opowieści mamy wiem, że poród nie był lekki, ponieważ ważyłam około pięciu kilogramów. Dzięki Panu Bogu wszystko się dobrze skończyło i nikt nie zamierzał mordować mnie ani mojej mamy.

Kiedy zaczynało się moje życie mama miała 28, a ojciec 29 lat. Nie byli młodziemiaszkami, a już dojrzałymi ludźmi. Moja mama, Stefania z domu Gindziuk, urodziła się w 1909 roku, a ojciec Wacław Bielecki w 1908. Pobrali się w 1936 roku. Mama w tym czasie pracowała w przedszkolu jako opiekunka do dzieci, natomiast ojciec był muzykiem i grał w orkiestrze wojskowej. Mniej więcej na rok przed wybuchem wojny, od

grania dostał samoistnej odmy płucnej i niestety musiał zrezygnować z muzykowania, a tym samym z pracy w wojsku i iść do rezerwy.

Przejdźmy teraz trochę do historii. W 1940 roku na podstawie umowy między Rosją sowiecką, a Niemcami dogadano się nie tylko co do granic na wschodzie, ale i do przesiedlenia ludności. Polacy, którzy znajdowali się po drugiej stronie rzeki Bug na zajętych terenach przez ZSRR, a urodzili się na zajętych terenach przez Niemcy, mogli wrócić do miejsc swoich urodzin.

Ojciec mój urodził się w Mławie i na tej podstawie uciekliśmy od Rosjan i to w samą porę pierwszym transportem, ponieważ trwały już na całą parę wywózki na Syberię, zwłaszcza rodzin byłych wojskowych, policjantów i całej inteligencji polskiej.

Mama powiedziała: - Ja już byłam w tym raj i nie chcę przechodzić tego po raz drugi, do syta tam najadłam się obierzyn i korzonków.

Życzliwi donieśli nam, że już byliśmy na liście do wywózki... Z opowieści mamy wiem, że do wybuchu wojny w 1939 roku, były to najszcześniejsze lata jakie przeżyli.

Ja natomiast do wieku trzech lat nie pamiętam co się w tym okresie działo. Przebłęski pamięci nastąpiły dopiero w czerwcu 1940 roku, do czasu ucieczki z Brześcia przed wywózką na Syberię. Niemcy w Białej Podlaskiej urządzili nam kąpiel w wagonach kolejowych, które zamieniono na łaźnie. Szare płynne mydło, które Niemiec każdemu wchodzącemu do wagonu łopatką nakładał na głowę, spływało do oczu i strasznie gryzło. Ten moment piekących oczu zapamiętałam bardzo dobrze. Nasuwa się pytanie, dlaczego nas kąpano?

Po otrzymaniu od władz rosyjskich zezwolenia na wyjazd, należało w ciągu 24 godzin z ręcznym pakunkiem stawić się na dworcze kolejowym, do kontroli osobistej.

Kontrolujący oczywiście „użyli” obywatelom wyjeżdżającym zabierając biżuterię, futra, pieniądze i wiele innych drogocennych rzeczy, dając na to pokwitowanie w postaci kwitariusza, na



Autorka z mamą Stefanią. Koszół, ok. 1941 r.



Łomazy. Na zdjęciu w środku mama Autorki. W tle budynki, w których wcześniej mieszkali Żydzi.

którym było napisane, że zostały wzięte na przechowanie (wieczne). Następnie podstawiono brudne wagony towarowe do których musieli się uciekinierzy załadować.

Po przekroczeniu granicy w Białej Podlaskiej, po otwarciu wagonów, zobaczyliśmy ludzi podobnych do kominarzy. Zarządzono kąpiel. Po parodii kąpieli, bo tak to można nazwać, ponieważ woda leciała niecałe 15 minut i została zakręcona, ludzie nie zdołali się umyć, tylko rozmazać na mokro brud, który osiadł na ciałach i ubraniach.

Następnie zarządzono, aby w bieliznie i z bagażem, stanąć do kontroli, zabierając uciekinierom resztę pieniędzy i kosztowności, których nie zauważyli Rosjanie. Potem wszystkich przewieziono do obozu przejściowego na sześć tygodni, bez możliwości wychodzenia poza obóz.

Mojej mamie i ojcu dopisało szczęście. W czasie rewizji przez Rosjan udało się mamie ukryć srebrne 10-cio złotych, a było ich nie mało, bo około 100 stuk. Były one zapieczone w kruchych ciastkach i ułożone w walizce na samym dnie. Nawet szpikulec, którym rosyjski celnik kłął po tych słodyczach, nie wydał podejrzanego dźwięku, że coś w nich jest. W walizce oprócz ciastek, był jeszcze inny prowiant przygotowany na podróż, jednak dwa złote pierścionki – jeden z brylantem, a drugi z rubinem i foka peleryna, zostały zabrane. Honorowo rewidujący zostawił złotą obrączkę na pamiątkę, bo to ślubna.

Pieniądze w banknotach były zaszyte w dole mego płaszczyka, a mnie nie rewidowano. Oświadczono nam, że zabrano te rzeczy na przechowanie chroniąc je przed Niemcami. Mama dostała pokwitowanie w postaci kwitariusza, który do tej pory posiadam, choć jest już w bardzo złym stanie. Ojcu również udało się zachować około 200 zł w bilonie, które miał przy sobie w kieszeni kurtki. Na pytanie czy ma pieniądze oświadczył, że tak i wsadził rękę do kieszeni, aby je wziąć i pokazać, a tu niespodzianka – czekoladki które wrzucił luzem do kieszeni, był to prezent zna-



Mała Krysia z mamą po przeprowadzce do Łomaz.

jomych dla mnie na drogę, rozpuścili się i wymazały bilon na niezbyt ciekawy kolor. Po pokazaniu takich pieniędzy celnik zakończył kontrolę i kazał się wynosić. Taka sama reakcja nastąpiła nie tylko u kontrolera rosyjskiego, ale i u niemieckiego.

Muszę zaznaczyć, że do kontroli i kąpieli po stronie niemieckiej mężczyzn oddzielono od kobiet i dzieci. Zaraz po kąpieli nastąpiła rewizja w następnym wagonie – mama zauważyła, że Niemcy dokładniej rewidują, a szczególnie odzież i zabawki dziecięce. Wobec takiej sytuacji wypruła z płaszczyka z mego płaszczyka pieniądze i umieściła w kieszonce wszytej na odwrocie pasa do pończoch, który założyła pod bieliznę. Na wszystko założyła szlafrok, a do jego kieszeni włożyła w drobnej walucie około 100 zł. I tak stanęła do kontroli trzymając mnie płaczącą na rękę. Gdy zapytano mamę czy ma pieniądze oświadczyła, że tak i wysypała całą zawartość kieszeni na stół. Niemiec wybrał monety o większym nominale, a resztę kazał zabrać. Mama zaczęła go prosić, aby zostawił wszystkie pieniądze uzasadniając, że to są ostatnie pieniądze jakie posiada i nie będą mieli z czego żyć. Wówczas Niemiec rozejrzał się wokół siebie czy ktoś nie patrzy i kazał natychmiast zabierać wszystkie. Mama podziękowała i na tym zakończyła się kontrola.

Tym to właśnie sposobem udało się uchronić gotówkę, która bardzo się przydała do życia w nowej sytuacji i istniałych warunkach. Później znowu nastąpiła pustka. Dopiero w wieku 5 lat wydarzenia utrwaliły się w mojej pamięci. (...)

Mieszkaliśmy u państwa Tokarskich we wsi Koszoły, gmina Łomazy, powiat Biała Podlaska. Byli to zacni i bogaci gospodarze. Wynajmowali nam pokój, w którym była podłoga, natomiast w pozostałych izbach było klepisko. Spaliśmy we trójkę pod pierzyną w łóżku z siennikiem wpychanym słomą.

Gospodarze spali w innych pomieszczeniach, a służba spała w stajni i oborze. Całe życie odbywało się w dużej kuchni. Zapamiętałam wszystkie prace jakie w ciągu roku wykonywało się w gospodarstwie – wypisz wymaluj, jak w „Chłopach” Reymonta, z tą różnicą, że był to inny czas – w tym czasie trwała okupacja hitlerowska, wszyscy żyli więc w strachu i niepewności. Gospodarze w



Przed domem Państwa Kozłowskich w Koszółach. Wyjazd na chrzest brata Autorki (Jerzego Bieleckiego). Fot. ok. 1942 r.

ramach kontyngentu musieli oddawać władzom niemieckim płody rolne i żywiec. Niedostarczenie groziło rozstrzelaniem.

Partyzantów również trzeba było zaopatrzyć w żywność, przecież oni walczyli z najeźdźcą. Do tego bandy rabunkowe, które w takich sytuacjach zawsze są, też żądały haraczu. Z każdej strony groziło niebezpieczeństwo. Młodych ludzi i całe rodziny wywożono na przymusowe roboty do Niemiec. Trudne było życie w ciągłym strachu.

Te wszystkie wydarzenia obserwowały dzieci, które także żyły pod ciągłym napięciem; szybko dojrzewały i przeżywały to razem z rodzicami. Do dziś pa-



Mama Autorki wraz z kolegą. Fot. Koszóły, ok. 1942 r.

mięta egzekucję dwojga partyzantów. Była to kobieta i mężczyzna. Hitlerowcy przywołali wszystkich mieszkańców wsi w jedno miejsce przy drodze, no i zaczęła się pokazówka. Najpierw strasznie ich bili nahajami. Bici ludzie nie byli w stanie nawet z bólu krzyczeć, tylko stękali... A potem rozstrzelali ich na oczach dorosłych i dzieci. Nie pozwolili nawet pochować na cmentarzu. Zwłoki musiały leżeć całą dobę, a potem zostały zakopane obok w rowie.

Jak już wcześniej nadmieniałam, obok partyzantów grasowali i rabowali ze wszystkiego bandziory – najczęściej byli to ludzie z sąsiednich wsi, lub miejscowi, poprzebierani, doskonale znający swoich sąsiadów i dobrze poinformowani o ich stanie majątkowym. Kiedy ojcu nakazali po raz drugi wystawić w bruździe w kartoflach 20 litrów bimbru, rodzice zdecydowali się przeprowadzić do Łomaz, osady położonej 7 kilometrów od Koszół.

Była to osada, w której był posterunek policji, tzw. granatowej. Służyli w niej Polacy. W Łomazach był kościół, mleczarnia, apteka, lekarz, dentysta, piekarnia, dwa sklepy spożywcze, restauracja, szewcy, krawcy, bednarze, stolarze, dwie kuźnie, dosłownie wszyscy rzemieślnicy, których umiejętności potrzebne były do codziennego życia.

Sprowadziliśmy się do domu w którym wcześniej mieszkali Żydzi. Budynki w całym centrum były wolne, ponieważ dwa tygodnie wcześniej wszystkich Żydów hitlerowcy wypędzili do pobliskie-

go lasu i wymordowali. Tylko nielicznym udało się uciec.

Mieszkając jeszcze w Koszółach mama urodziła bliźnięta, lecz niestety jedno z bliźniąt udusiło się przy porodzie. Jureczek miał 7 miesięcy kiedy zachorował na biegunkę i do tego miał całe ciało we wrzodach. Nie było czym go leczyć, a domowe sposoby w postaci różnych ziół i maści nie dawały żadnych rezultatów – zmarł na moich oczach. Był to drugi dzień od chwili, kiedy sprowadziliśmy się do Łomaz.

Wszystkie domy w których mieszkali Żydzi zostały opróżnione, natomiast rzeczy – przede wszystkim ubrania, pościel i różne inne szmaty – zostały zwalone na środku małego parku w centrum miasteczka. Idąc za trumienką braciszka, którą niosły starsze dzieci, przechodziliśmy w drodze na cmentarz obok tej wielkiej sterty rzeczy. Przykro o tym pi-



Autorka wraz z mamą oraz młodszym bratem (na rękach) w sadzie Państwa Tokarskich. Koszóły, ok. 1942 r.

sać, ale muszę; grupa ludzi, jak te hieny łakome padliny, grzebała w tych szmatkach szukając złota i dolarów. Kurz od tego zamieszania był tak wielki, że słup jaki się utworzył, sięgał aż do samego nieba. Niemcy, którzy to obserwowali śmiali się i fotografowali. - Cieszcie się na razie – mawiali, bo jak zabraknie Żydów, to na was przyjdzie kolej. (Cdn.).

Krystyna Tomaszewska



Wspomnienia z nieodległej przeszłości

Dzieciństwo w Koszalach

Urodziłem się 6 sierpnia 1953 roku w Koszalach w rodzinie Feliksa i Marii z domu Sidorowicz, jako syn pierworodny. Pod koniec lat pięćdziesiątych moja mama ciężko zachorowała. Ówczesna medycyna nie bardzo radziła z tym problemem, pomimo częstych i długich wyjazdów do sanatorium Dom prowadziła moja babcia Apolonia, która opowiadała tak wspaniałe bajki, że niektóre z nich pamiętam do dzisiaj (zmarła kiedy miałem 17 lat). Tata zaś w chwilach wolnych od pracy zaszczerpił we mnie zainteresowanie historią, które pozostało do dziś. Czytał m.in. „Poczet królów polskich” i opowiadał o różnych zdarzeniach historycznych. Szybko też zorientował się, że dysponuje świetną pamięcią, stąd zaczął mnie uczyć różnych wierszyków. Zanim poszedłem do szkoły podstawowej, znałem wszystkich królów polskich i swobodnie recytowałem różne wiersze. Szkoła była dla mnie przyjemnością, może również dlatego, że miałem do niej tylko przez drogę, zatem na „dużej pauzie” wpadałem do domu, aby coś zjeść.

Zaczytnałem szkołę podstawową, kiedy jeszcze były kałamarze i pisało się krzyżówką. Jestem leworęczny i z tym w zasadzie łączy się mój jedyny problem ze szkołą. W sposób naturalny chwytalem pióro w lewą rękę i dostawałem linijką po „łapie”. Nauka pisania prawą ręką skutkowała tym, że w zeszytach miałem mnóstwo kleksów, itp. Tak to trwało do trzeciej klasy włącznie.

Do dzisiaj piszę, jem i żegnam się prawą ręką.

Szkołę podstawową wspominam bardzo miło, nie dlatego, że taka jest reguła „na starość wspomina się dzieciństwo i młodość”, ale w mojej szkole naprawdę dużo działało się. Każdy mógł znaleźć coś dla siebie - harcerstwo, zuchy, koła zainteresowań; korytarz szkolny był wypełniony „gazetami” których tytuły pamiętam do dziś np. „Jadę w góry lub nad morze, bo oszczędzałem w SKO”; „Nigdy więcej” (dot. obozów koncentracyjnych); prowadziliśmy sklepik szkolny, mieliśmy dość bogatą bibliotekę, z której bardzo chętnie korzystałem.



Maria Sidorowicz, mama Autora.

Fot. 1946.

Zresztą czytałem bardzo dużo. Pamiętam, że kiedy w 1963 r. była sroga zima



Rodzice Autora przed starym domem w Koszalach. Fot. 1951 r.

i szkołę zamknęto, wypożyczyłem tyle pozycji i niektóre tak poważne, że do dzisiaj wprawia mnie to w zdumienie.

Szczerze mówiąc nie ciągnęło mnie do prac polowych, chociaż jak wszyscy na wsi pomagałem przy nich, ale wolałem zatopić się w książkach, na co miałem pełne przyzwolenie rodziców w szczególności taty. W szkole podstawowej wyjechałem też daleko od domu, tj. na obóz harcerski w Nowym Wieku koło Fromborka. Z namiotu czteroosobowego, w którym spaliśmy, z jednym z chłopaków ten wyjazd przekształcił się w trwałą przyjaźń, trwającą do dziś pomimo tego, że dzielą nas morza i oceany.

Czas mojej szkoły podstawowej, to również czas rozpoczynających się głębokich zmian na wsi. Lamy naftowe zastąpiła elektryczność. Smołowane słupy i druty opłoty drogę.

Ówczesne tzw. gomułkowskie czasy, to były ciężkie czasy. Jednak nie czułem takiego niedostatku w domu (może na tzw. przednówka) na jaki wskazują moi starsi koledzy we swoich wspomnieniach. Zapewne dlatego też tata był rzemieślnikiem, a mama krawcową, więc jakiś grosz dodatkowy „wpadał”.

W okresie gomułkowskim życie na wsi nie było łatwe, obowiązkowe dostawy zboża, mleka, żywca w zasadzie za darmo; sekwestratorzy ściągający podatki bez litości, wezwania na kolegium czy „wrzucanie” na dołek; ukrywanie w przemyślnych ziemniakach świń, czy przepędzanie bydła kuzyna w innej wsi na wieść o sekwestratorze - to były codzienne obrazy z dzieciństwa spędzonego w Koszalach.

Ale dzieciństwo spędzone w Koszalach, to poza szkołą przede wszystkim wycieczki rowerowe, grzyby, boisko sportowe.

Technikum Wodno-Melioracyjne im Jana Kazimierza w Siedlcach

I tak oto w wieku 15 lat w 1968 r., po pomyślnie zdanych egzaminach rozpocząłem naukę w technikum w Siedlcach. Od tej pory do rodzinnej miejscowości wracałem już tylko na wakacje, urlopy



czy jeszcze później na tzw. weekendy.

Dlaczego technikum, a nie liceum? Otóż, w tym czasie w środowisku wiejskim (a sądzę, że nie tylko), dominowało myślenie, że należy zdobyć zawód, a później myśleć o studiach. Mój tata nie do końca akceptował ten wybór, natomiast mama zdecydowanie tak.

Moja szkoła średnia stanowiła duży kompleks, bowiem było tam także Pomaturalne Studium Techniczne. Naszą dumę i zazdrość innych szkół siedleckich stanowił prawie 3-hektarowy obiekt sportowy, tj. pełnowymiarowe boisko do piłki nożnej, boisko do piłki siatkowej i ręcznej; bieżnie; rzutnie. Tam też od wczesnej wiosny, do późnej jesieni spędzaliśmy zdecydowaną większość wolnego czasu. A co zimą? Zimą wylewaliśmy lodowisko na boisku do piłki ręcznej, robiliśmy bandy i graliśmy w hokeja. Ale nie tylko do naszej dyspozycji były narty biegówki i łyżwy długie.

Od 1 września 1968 r. zamieszkałem w internacie przyszkolnym w sali siedmioosobowej. W internacie pano-

wała iście wojskowa dyscyplina, sami pastowali podłogi, a za froterkę służyły „szmaty”. Był wyznaczony grafik, w jakiej kolejności poszczególne sale czyszczą korytarze i inne pomieszczenia ogólne. O określonej godzinie na stołówce mieliśmy obowiązkową naukę własną. Na mecze, które kończyły się po 22:00, musieliśmy mieć specjalną zgodę i należało się wykazać dużą zręcznością, aby ją uzyskać. Zresztą zgoda dotyczyła najstarszych klas IV i V, czasami klas III.

Źle posłane łóżka, skutkowały „piłotami” robionymi przez wychowawców internatu i były one na porządku dziennym. Nam chłopakom, nie tylko ze wsi, ale i z wielu miast w Polsce były to czynności odległe, które w domach rodzinnych wykonywały nasze babcie, mamy czy siostry.

W technikum byłem dość aktywny. Bardzo szybko, bo już pod koniec II klasy przejąłem prowadzenie kółka historycznego. Uczestniczyłem w olimpiadach wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. Zresztą mieliśmy „silny” skład drużynowy jak i indywidualny, co było zaskoczeniem dla licealistów, że to chłopaki z technikum. W tym miejscu należy dodać, że w klasie były tylko trzy dziewczyny. Dwa razy dotarliśmy do finału krajowego, raz zajmując drugie miejsce. Mieliśmy wspaniałych historyków, polonistów i profesora od w-f.

W klasie IV i V byłem przewodniczącym samorządu szkolnego, ale tylko dlatego, że wychowawcą od IV klasy, był prof. Kiciński, który miał rzadko spotykany dar, aby w sposób rzeczowy i spokojny przekonać nas do wielu przedsięwzięć.

Początek tzw. ery gierkowskiej skutkował również tym, że cofnięto „wilcze bilety” (za wydarzenia marcowe 1968 r.), m.in. wykładowcom Uniwersytetu Warszawskiego, ale skazano ich na prowincję. Stąd w technikum pojawili się świetni poloniści, historycy i inżynierowie.

Od 1971 r. czuliśmy powiew świeżości, można było już słuchać bez obaw listy przebojów Radia Luxemburg, nosić buty tzw. „bitelsówki”. Problemem były tylko długie włosy, zdarzało się że w jednym dniu byliśmy „wyrzucani” z lekcji dwukrotnie, aby udać się do fryzjera.

Kiciński po paru rozmowach (już po maturze) upewnił mnie w decyzji, że wybór kierunku studiów, czyli prawa



Autor wspomnień tuż przed maturą. Wielkanoc 1968 r.



Autor wspomnień z mamą, młodszym bratem i siostrą przed szkołą w Koszolah. Fot. 1962 r.

jest słuszny. Oczywiście „kurs” historii i geografii z technikum był niewystarczający. Wybierając jako kierunek studiów prawo musiałem „zakasać rękawy”, co w odniesieniu do historii czyniłem z przyjemnością, mniej do geografii. Zresztą tak się złożyło, że egzamin wstępny zdawałem w Komisji, której przewodniczącym był dziekan Wydziału Prawa i Administracji prof. Sękowski (oczywiście dowiedziałem się o tym później). Zatem, kiedy wylosowałem 3 pytania, w tym m.in. stosunki polsko-radzieckie w latach 1920-1932 i „rozwinąłem” się „zahaczając” o atamana Petlurę, jeden z doktorów zasiadających w Komisji dość ostro mnie przystopował. Reakcja Pana dziekana była następująca: „Panie kolego, pozwól chłopakowi, aby pokazał swoją wiedzę, bo na pewno tego nie uczyli w Technikum Wodnych-Melioracji”. Na studia dostałem się bezproblemowo z 17 pozycji. Cdn.

Ryszard Bessaraba



Tajna misja brata Mariana na Południowym Podlasiu (cz. 2)

W 2011 roku na łamach pisma „Kniaża” ukazał się artykuł pana Sławomira Hordejuka poświęcony rękopisowi br. Mariana Onufrego Bucniewicza, albertyna urodzonego w Koszółkach. Przeszedł on do historii jako misjonarz pracujący wśród prześladowanych przez carat unitów. Wielokrotnie wspominają o nim w swoich relacjach i listach księża jezuici, którzy przybywali z Galicji, by wystawionym na ciężką próbę wiary unitom nieść duchową pomoc.



Brat Marian Bucniewicz (1869-1920)

Również br. Marian pozostawił po sobie ważny dokument. Jest nim przechowywane w Archiwum Braci Albertynów w Krakowie „Sprawozdanie brata Maryana III Zak. św. Franciszka” (Rkp. nr III/18). Kopia dokumentu znajduje się w Archiwum Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego w Krakowie. Nosi ona jednak inny tytuł „Sprawozdanie brata Mariana z pobytu w Estonii w latach 1897-1904” (Rkp. 3794). Dokument jest cennym uzupełnieniem relacji spisanych przez jezuitów. Można w nim znaleźć wiele informacji,

które dopełniają obraz pracy misyjnej wśród unitów na Podlasiu.

Br. Marian opisał większość z czterestu wypraw misyjnych, które odbył w okresie od 13 czerwca 1897 r. do 28 listopada 1904 r. Pracował głównie na południowym Podlasiu i Lubelszczyźnie, ale odwiedził też Podole, Polesie i Suwalszczyznę. Rodzinne strony starał się jednak omijać, gdyż obawiał się reakcji ludzi na widok rodaka wędrującego w świeckim stroju i poszukującego dorywczej pracy. Taką bowiem metodę przyjął br. Marian, by w poszczególnych wsiach

nawiązywać kontakty z prześladowanymi unitami i przygotowywać miejsce pracy duszpasterskiej dla księży. Z aktu urodzenia wynika, że sam był potomkiem unitów, urodzonym w czerwcu 1869 r. „Sprawozdanie” zawiera wiele jego osobistych przemyśleń i doświadczeń. Pomaga też zrekonstruować realia życia ówczesnych ludzi. Misja br. Mariana była trudna i niebezpieczna. Był tropiony i ścigany, strzelano do niego, grożono mu szablą, nie raz musiał się ukrywać, by ująć pościgowi, a ostatecznie został schwytany i po przesłuchaniu w Krasnymstawie trafił do więzienia na zamku w Lublinie, skąd został odesłany do Galicji.

Poniżej znajduje się fragment jego „Sprawozdania”. Nie jest to bezpośrednia kontynuacja publikowanego ostatnio, ale wybrany został jako jeden z ciekawszych urywków relacji ukazującej pracę br. Mariana. W rękopisie są to strony od 12 do 15. Jest to część relacji z jego pierwszej wyprawy, podczas której dopiero zaczął zdobywać doświadczenie w pracy misyjnej.

Piotr Pikuła

Autor książki „Wierny ojców wierze. Paweł Pikuła z Derła wobec martyrologii unitów podlaskich”, Wyd. Unitas, Siedlce 2015.

Przyszedłszy do Warszawy niedługo już przebywałem w Warszawie, ale chciałem przekonać się, jak to mnie na Podlasiu pójdzie robota. Brat Szymon¹ zostaje w Warszawie, a ja w imię Boże puszczam się na Podlasie. Idąc do kolei, walczę ze sobą, gdzie ja pojedę nieszczęśliwy, gdzie tu bilet brać. Myślę sobie,



pojechałbym wprost do znajomych. Ale jakże tam pokazać się? Jedno, że boję się zdrady, mogą mnie od razu zdradzić. Po drugie, będą ze mnie śmieli się, że nie mógł być w zakonie, a nie uwierzą mi, że w takich warunkach przyjechałem. Wal-ka nie ustaje, ale co raz to mocniejsza robi się. Różnymi utrapieniami jestem dręczony. Ale myślę sobie, co będzie. Pójdę na lub męka. Wola Boża niech się dzieje. Puszczam się po apostołsku. Wezmę bilet do Międzyrzecza i będę szukał roboty jakiej. Teraz roboty wszędzie dość jest, bo same żniwa jarzynne. Było to w sierpniu. Przyjechawszy do Międzyrzecza, a było to wieczorem, udaję się szukać noclegu. Nie idę ja do miasta. Ale stoi blisko kolei wioska Stołpno² i tam na noc. Zachodzę ja do paru gospodarzy i proszę się na noc. Ale niestety. Wszędzie mnie odsyłają dalej. Z jednej strony bieda, bo nie mam gdzie przenocować, a tu noc i nieznajomy jestem, boję się, ażeby w ręce nie popaść, a z drugiej strony mam wielką radość, że stałem się godny św. Rodzinę naśladować. Myślę sobie: „Jeżeli św. Rodzina nie miała gdzie przenocować, cóż ja jestem?”. I rozważając swoje położenie, nie pytam, chodzę i proszę się, jak mogę, a tu wszędzie spoglądają jak na złodzieja. Bo widzą, że jeszcze młody, więc pytają, skąd i jak, i za czemu ludzi był. A tu prawdy nie mogę powiedzieć, bo nie wiem, przed kim, a kłamać nie wolno. Muszę kręcić, jak mogę. Na szczęście przyjął mnie jeden. Ale widzę, że mnie bardzo boi się. Podejrzewa mnie, że jestem złodziejem. Rozmawia ten gospodarz ze mną i mówi, że jest sołtysem. Pyta się mnie, zaczem chodzę. Odpowiadam: „Roboty szukam”. Zaczął mnie podejrzewać, że nieprawdę mówię.

„Nie wiem, z kim mówię”. Odpowiadam, chociaż mi się przedstawił bardzo człowiek sympatyczny. A myślę sobie: „Może i dobry człowiek”. On mnie boi się, a ja jego. Zaprowadził mnie do stodoły. Przenocowałem. Rano dali mnie jeść śniadanie i widzę, że jakoś pokazuje do mnie szczególne przywiązanie. Już ja mam odchodzić, prosi mnie:

„Przy okazji nie mijać nas, ale zawsze na nockę wstąpić”. Bo zmiarkował, że ja nie chodzę za robotą. Bo mnie sam później opowiadał. Bo do niego często zachodziłem. Przyznał się, że jest unitą i zaczął mnie wypytwać:

„Nie wiadomo ja – powiada – jak długo będzie to trwało prześladowanie”. Nazajutrz odchodzę, a jego kobieta zaczęła szlochać po mnie, czyli płakać.

Rano puściłem do miasta Międzyrzecza. Zachodzę do jednego gospodarza i proszę się na robotę. Pyta się mnie, co mogę robić?

Odpowiadam: „Gospodarską robotę mogę robić”.

Pyta: „A żąć pan umie?”.

Odpowiadam: „Umie”.

Ale patrzy na mnie i mówi: „Pójdziemy, spróbujemy”.

Zabrał ode mnie paszport i nazajutrz idziemy w pole owsa żąć. Zaczynam to żniwo, ale mnie idzie, jak z kamienia. Słońce piecze, krzyż boli, że nachylić się nie mogę, a jak schylę się, to znów wstać trudno. „Trzeba cierpieć, nic nie pomoże. Początek musi być trudny” – dodaję sobie otuchy.

Od robotników daleko zostałem, ale nic nie pytam, tylko robię, jak mogę. A tu patrzą na mnie, co to za jeden. Wszystko trzeba dla Miłości P. Jezusa znosić, dodaję sobie otuchy. Przerobiłem kilka dni przy żniwie. Zaprowadził mnie na stodołę, ażeby poszywał dach słomą, bo we wszystkim mnie potrzebował i pyta, dlaczego ja chodzę za taką robotą, kiedy można i lepszą gdzie znaleźć?

Odpowiadam: „Jaka trafi się, taką trzeba robić”.

A mnie koniecznie trzeba było zaba-wić się z kilka dni tam do przyjazdu brata Szymona. Bo on znał te wioski mniej więcej. Przyjechał on w niedzielę i zaraz poszliśmy do wioski Berezny 4 wiorst³ od Międzyrzecza. W Bereznie przenocowali i rozpytawszy tam, jakie gdzie ludzie po wioskach. Wyruszyliśmy do Zachajek⁴ do Stefana Zacharuka. Tu trochę z wody dzieci pochrzcivszy i metryk popisawszy idziem dalej. Dzięki Bogu już nam lepiej idzie, bo ojciec nam nakazał, aby-

śmy wszędzie pytali, jak dzieci z wody chrzczą i uczyli ich chrzczyć, jeżeli gdzie mamy zaznajomienie. Później przez Drelów i Kwasówkę, bo mniej więcej już nam zaczęli ludzie rekomendować jedni drugich. Chociaż jeszcze nie chcieli dobrze wierzyć, bo różne mniemania mieli o nas. Później rozejszli się z bratem Szymonem. Ja udałem się do Żelizny, bo tam miałem rekomendację do Ku-skiewicza. Jak zaznajomiłem się z nim, często zachodziłem do niego. W każdej wiosce pełno dzieci niechrzczonych.

(...)

Nie chodziło mnie tu z początku o chrzest, ale jedynie o zaznajomienie na przyszłość. Miejscami tylko z jednym porozmawiam i puszczam się dalej. W innej wiosce kilku każe zwołać gospodarzy. Czasem spotkawszy gdzie w polu wypytałem, ale wszędzie z początku było trudno, bo jeszcze robota w polu była. Czasem zostawałem młócić, a najwięcej wieczorami zbierałem ich i ostrożnie rozmawiałem z nimi o religii itd. Z Żelizny do Walinny do Antoniego Zająca. Tam od razu zrobiłem dobre zaznajomienie, bo on już siedział za misjonarzy. Z Walinny do Czeberak (Onufrego Wertejuka). Tam trochę zabawiłem. Już mnie odwożą do Gęsi (do Kaleszuka). A w każdym miejscu trzeba było siebie zalecać czy rekomendować, kto jest i po co przyszedł i w paru słowach przemawiać do nich o wierze i religii. Z Gęsi do Dawidów. Tam już mnie lepiej idzie, bo z kilkunastu gospodarzów zebrałem tu. Oświadczyłem się, że nie jestem jaki zdrajca ani oszukaniec lub jaki zdzierca. Ale jestem zakonnikiem i tylko dla waszego dobra chodzę nie żądając od was żadnej ofiary ani zapłaty, ale jedynie aby tylko wam pomóc w czemkolwiek. Wiedząc waszą niedolę, którą Bóg na was dopuścił itd. Bardzo ludzie zastanowili się nad tem i później mnie prosili, ażeby u nich zabawił się z parę dni, bo bardzo im to spodobało się, że powiedziałem, że pieniędzy nie biorę.

1 Br. Szymon – Stefan Olesiejuk, albertyn; w zakonie przeżył 27, zmarł w wieku 60 lat 24 kwietnia 1919 r. w Tarnowie. Prowadził gospodarstwo rolne. F. Paluszkiewicz podaje, że pochodził z Pieroszczówki koło Radzyna Podlaskiego, ale najprawdopodobniej chodzi o Pereszczówkę koło Drelowa. Brał udział w misji jako współpracownik ks. Pydynkowskiego, razem z którym trafił do aresztu w lipcu 1901 roku. Po śledztwie obaj zostali wydani z Rosji pod koniec września 1901 r.

2 Południowe osiedle Międzyrzecza Podlaskiego. Dawniej wieś niedaleko Międzyrzecza, po II wojnie światowej wchłonięta w struktury tego miasta.

3 Wiorsta – rosyjska miara długości około 1067 m.

4 Zahajki – miejscowość położona obecnie w gminie Drelów, w powiecie białskim.



Podlasiaka portret własny (cz. 2)

Poniżej zamieszczamy fragmenty relacji pt. „Klechdy z Podlaskiego” autorstwa Stanisława Miłkowskiego, który w 1858 r. zawitał w okolice Koszół. Opisał wówczas lud podlaski, jego charakter, ubiór, zwyczaje i wierzenia. Jest to jedna z nielicznych XIX-wiecznych relacji (niemal reportażowych) z Południowego Podlasia. Tekst pierwotnie opublikowany został w miesięczniku literacko-naukowym „Biblioteka Warszawska”. W miarę możliwości zachowano oryginalną pisownię.

Klechdy z Podlaskiego

Śliczne Sandomierskie, urocze Krakowskie, rozkoszne Lubelskie, Podlaskie smętne, poetyczne.

Na tych przestronnych a płaskich i niskich polach, oko błąka się samowolnie, bez celu, bez punktu oparcia. Dymny, ciemny, mglisty widnokrąg zasłania myśl smętnością a serce poi tęsknotą. Zdaje ci się słyszeć głosy boleści, zbierasz prawie łzy uronione: o! bo smutne, smutne Podlasie!

Kraj cały nędzny, leśny, bagnisty, wygląda jak gdyby plaga moru lub wojny przeszła tędy; chatki dymne i zapadnięte, błotne podwórka, lud zbiedzony i ponury przejmują obawą, drżeniem.

A gdy cię piosenka podlaska doleci, nuta jej tak łzawa, tak boleśnie odbija się w twej piersi, że mimowolnie posmutniejesz. Ton jej każdy, to ton rozpacz: tyle w nim uciemiężenia, niedoli, tyle razem stłumionych jęków, zdławionych westchnień, że zda się, za każdym tonem łza, za każdą łzą rozrywa się życie.

Podlasianie lud krzepki, barczysty, mało przecież między niemi dorodnych, rześkich młojców; twarze ich bowiem mimo młodości, nie mają życia, ruchy ociężałe, powolne.

Co do szlachty, ta dość zamożna, mianowicie obywatele ziemscy; las, piasek, karaski, ma szlachcic podlaski, mówi przysłowie.

Po prawdzie, jak wszędzie tak i tu powierzchowność i sposób postępowania

dość do wyrzeczenia o zamożności szlachty przyczynił się. Szlachcic, tak zwany „hreczkosiej”¹ nie przyjeżdża do miasta powozem i czterema końmi z brykami, dworem, służbą; ale po prostu w wyszarzanej taratadzie², w dobrze starej taradajce³, jednym konikiem wlece się za interesem, a stanąwszy gdzie u poczciwego Moszka lub Lejbki, nie opróżniając bezpotrzebnie kieszeni, po załatwieniu sprawunków cichutko zmiata do siebie.

Spojrząwszy na niego, trzech groszy byś nie dał; ale pojedź do wsi, wproś się na obiad, przyjrzyj meblom, a co więcej szkatułce dobrze okutej pod łóżkiem, zmienisz zapewne zdanie.

Oprócz właścicieli dóbr, znajduje się drobna szlachta, zagrodowa, czyli drążkowa, i z owej czasem cała wieś się składa. Takie wsie są: Tuczna, Huszcza, Wiski itd.; co wieś to szlachecka, a co chata, to szlachcic.

Lubią oni sobie dobrze czasem pohulać, zaleźć komu za kołnierz, do bójki, procesu obcesem: a dumne to i harde, choć bieda i pustki.

Chłopki, biedacy: każdy uprawia swój kawał ziemi z potem czoła cały tydzień, w niedzielę zaprzągłszy szkapinę w hołobę do wózka, wiozą na sprzedaż masło, serki, słomę, gruszki, jabłka, cebulę, kartofle, itp.

Na jarmarkach, tem ruchliwym a tak uroczystym dla każdego wieśniaka zgromadzeniu, nie usłyszysz dziarskich: „dana moja dana”; kiedy to chłopiec z

dobrze napełnioną głową, a bardzo wypróźnioną kieszenią śmiga galopem do domu. Podlasiak podchmielony, rozespany, wlece się na wozie powolnie, ze zwieszoną głową (...).

Opilstwo bardzo rozpowszechniło się między tą klasą ludu, i w trunku szukają jakby zapomnienia swej nędzy.

Co spowodowało ich nuty tak smętne, tak rzewne: trudno zbadać. Może klęski nieskończonem pasmem walące się na tę okolicę, może te wojny, pożogi, napady, zaryły w duszy tamecznego⁴ mieszkańca boleść i niewolę. (...)

Mnóstwo snuje się na Podlaskiem piosenek: z tych jedne obrzędowe, drugie ulotne, zdarzeniowe. Każda zawiera w sobie albo utyskiwanie na los niešťczęśliwy (dolą), albo zwraca się do ptaszka, żeby przyniósł kilka słów od miłego; to znów żal po stracie: niektóre opiewają pewne okoliczności lub zdarzenia. (...)

Ubiór Podlasian prawie zastosowany do wieku każdego i obojej płci. Ubiór męczyzn: gunia⁵, sukmana długa z burego sukna, wysoka baraniasta czapka, na nogach lyczaki, jak tam nazywają postoly⁶. Kobiety noszą ogromne czepce obwiązane chustką, wysokie kołpaki owite rańtuchami⁷ albo pewien rodzaj nagłówek, w podobieństwie nagłówek na kapelusze damskie; w sukmanie lub kozuchu żółtym bez pokrycia, w różne paski i centki po szwach umalowane, trzewiki na korkach. To ubiór męzatki:

1 Ubogi zaściankowy szlachcic samodzielnie zajmujący się rolą.

2 Rodzaj krótkiej kapoty męskiej, ozdobionej naszywkami ze sznura (szamerunkiem), noszonej w dawnej Polsce na przełomie XVIII i XIX wieku.

3 Bryczka, zwykle dwukołowa, bez resorów.

4 Tamtejszego.

5 Wierzchnie okrycie męskie

6 Postoly – trzewiki, a raczej treпки plecione z łyka, przymocowane do nogi łykiem lub sznurkiem

7 Rańtuch – dawniej szal lub chusta z płótna samodzielnego ozdobionego tkanym lub haftowanym szlakiem albo z tiulu ozdobionego haftem lub koronką.



Ubiory włościan z okolic Podlasia nadbużańskiego. Rys. Franciszek Kostrzewski (II poł. XIX w.).

panny noszą chustki związane na głowie po krakowsku lub też opaskę na głowie dość szeroką; wtedy przystrajają włosy kwiatkami lub rutą⁸.

Nieźmiernie przesądni są Podlasiacy: do dziś dnia w okolicach Białej⁹, Tucznego, Huszczy, Studzianki, Piszczaka pojawiają się, według mniemania mieszkańców, upiory, diabli itp. Przesąd do tego stopnia opanował duszę i myśl Podlasiaka, że żaden chłopak, bez jakiegokolwiek przerażenia, nie opowiada o upiorze lub straszyle.

Wierzą także w uroki, zmary, wil-

kołaki, zamawiania i opisywania atramentem ran, szczególniej róży.

Kiedy kto kogo przestraszy, mianowicie dziecię, wystrzygają mu ze środka głowy włosy, niby na uratowanie ustraszzonego, i wtedy nikt od podobnej operacji, jeśli ma nieszczęście jej podlegać, wywinąć się nie zdoła. Także przelewają jajka i tłuką garnek.

Co szczególnie jest, to to, że w razie boleści żołądka, mierzą piędzią¹⁰ ręce i nogi a czasem piersi słabego. Niemniej są pewni o szkodliwości złych oczu; tak, że posiadający podobne,

może urzec, zadać chorobę, popsuć coś lub przeszkodzić w robocie.

We wsi Huszczy jest podanie, jakoby pod mostem źle siedziało, którego nikt dowolnie i śmiało przejechać nie może, a tem bardziej nietrzeźwy, boby mu diabeł zaraz figla spletał. Opowiadają o czarnych baranach, które wskakują na wóz za jadącym i ten dopóty ruszyć nie mógł z miejsca, dopóki się nie przeżegnał: baran się wtedy roześmiał i zniknął. To znowu jakiś opity chłopak zwabiony przez diabła, długo tańczył na mniemanym weselu, a otrzeźwiający znalazł się w bagnie, zabłocony od stóp do głowy itp.

Są mściwi, i tak: jeżeli który z gospodarzy na drugiego się rozgniewa, daje na świecę do Matki Boskiej, w tym celu, aby ten, do kogo ma złość, tak skapiał¹¹ jak świeca stopnieje; dają na podzwonne, niby obchodząc już pogrzeb swego wroga.

Klną okropnie: „Szczob ty hołowoj nałożył, szczot ty sobaczy synu swita ne baczył, szczot tebe palarusz¹² naruszył, szczot ty skapiał, zmarniał”.

Kiedy kto umrze dla okazania wielkiego żalu najmują płaczki, które płaczą, idąc za trumną.

Żal po stracie męża Podlasiaka temi zawodzi słowami: „oj biedna ja biedna sieroténka, oj doleńka moja nieszczęśliwa, ojo joj, szczot ja teraz zroblu, oj biedna taj i moja hołowénka”.

Przy pogrzebie na trumnie stawiają miskę z kaszą hreczaną, gotowaną w mleku, i każdy z obecnych pokosztować jej powinien. Po pogrzebie piją na zabój.

Żaden obchód uroczysty, nie obejdzie się u nich bez wódki; tak, że kiedy gospodarz obchodzi ślub, chrzciny i pogrzeb jedno po drugim, prawie zostaje zniszczony. Już to bowiem będzie dowodem życzliwości, kiedy gospodarz wystawi dużo wódki i mięsiwa. Zresztą jest przesąd, że kto chce, aby szczęśliwie żył z żoną i żeby mu się dzieci chowały, musi dobre sprawić i chrzciny i ślub.

Podlasianie bardzo obawiają się przekleństw: i tak kiedy zakładają nowy dom, przy wiązaniu krokiew, poją cieślę i karmią go dobrze, aby ten rozgniewany nie zaciął choroby. Widziałem

8 Ruta - roślina ozdobna i lecznicza, dawniej używana na wianki ślubne.

9 Białej Podlaskiej.

10 Piędź - dawna miara długości (ok. 20 cm).

11 Zmarniał, zbiedniał.

12 Paraliż.



Podlasiak z okolic Kodnia. Fot. Jan Makaruk, przed 1915 r.
Ze zbiorów Działu Regionalnego Miejskiej Biblioteki Publicznej w Katowicach.

kilkanaście domów, w których jak mówiono, co rok ktoś musiał umrzeć, gdyż tak cieśla musiał złożyć „założenie”.

W mieście Biały, każdy opowiada jako rzecz prawdziwą, iż rok rocznie w rzece Krznie, która tam płynie, musi się

ktoś utopić.

Przy weselu główną rzeczą jest korowaj i kołacz: korowaj jest to ciasto w kształcie i grubości naszych pasztetów, ubrany w zielone gałązki. Kołacz, po prostu bułki. Gdzie zajdą z takim kołaczem, gospodarz musi ich przyjąć wódką lub też obdarzyć pieniędzmi.

Pannę młodą przybierają w białą spódnicę i koszulę, czasem w gorset; do włosów splecionych w warkocz, przypinają kilkanaście różnokolorowych wstążek, głowę stroją w wianek ruciany.

Do kościoła jadą w kilka wozów. Na jednym siedzi muzyka i gra przez całą drogę; wszystkie wozy pędzą galopem, co koń wyskoczy: druchny pieją godowe pieśni.

Dożynki odbywają się podobnie, jak i w innych okolicach, nuta jednak przyśpiewek żniwiarzy, więcej melancholijna, jak radośna.

Podlasiak kiedy śpiewa z radości, tony przechodzą w żywe i urywane, i wiążą się w kształcie kozaka. Nie skoczy do bójki i napici i rozdrażnieni, biją się zawzięcie. Główną rzeczą każdej bitwy jest uchwycić przeciwnika za włosy, które wielu z nich nosi bardzo długie; są jednak i tacy, co golą głowę, zostawiając pośrodku kosmyk włosów. (...)

Pobożni na odpust o kilka mil się zgromadzają. Dziesięciny swoim księżom oddają w jajach, kurach, snopach, a najczęściej w tak zwanych pirogach¹³.

W dzień połowy wielkiego postu jest zwyczaj „przebijać go”, to jest, że młode chłopaki, czasami dziewczyny, a najczęściej sąsiadka sąsiadce, rozbija o dom garnek z popiołem, mówiąc: „Srodopość! srodopość!” Robią przytem różne psoty, to bijąc kamieniami okiennice, to rzucając jeden na drugiego worki lub pończochy napełnione popiołem.

Tańce Podlasiak ograniczają się na jednym tak zwanym „szalony”: podobny jest on do oberka, z tą różnicą, że go tańczą z niezwykłą szybkością. Muzyka do niego gra na nutę dawniej używanej galopady. (...)

Stanisław Miłkowski
„Klechy z Podlaskiego” [w:]
„Biblioteka Warszawska” 1858, t.
I, styczeń, zeszyt XIII, s. 463-468.

Do druku przygotował:
Sławomir Hordejuk

¹³ Robią je w kształcie Pirogów leniwych, z tą różnicą, że jest dobrze wysuszony i obsypany makiem. Smak ma wyborny.



Kolejne stypendia dla studentów I roku z gminy Łomazy

Program „Stypendia Pomostowe dla studentów I roku” skierowany jest do ambitnych i zdolnych maturzystów z małych miejscowości, którzy podejmują naukę na dziennych studiach wyższych uczelni. O stypendia mogą ubiegać się maturzyści, którzy osiągają bardzo dobre wyniki w nauce i spełniają jeden z warunków: pochodzą z rodziny byłego pracownika PGR, lub są finalistami olimpiad przedmiotowych w szkole ponadgimnazjalnej, lub pochodzą z rodziny wielodzietnej, albo są wychowankami rodziny zastępczej lub państwowego domu dziecka, czy też mają rekomendację lokalnej organizacji pozarządowej. Uczestnicząc w Programie, organizacja pozarządowa stwarza swoim podopiecznym szansę zaistnienia w systemie stypendialnym, w ramach którego młodzi ludzie mogą otrzymać stypendium na I rok studiów a także wsparcie finansowe podczas dalszej edukacji akademickiej. Najlepsi stypendyści Programu mogą ubiegać się o stypendium na II rok i dalsze lata studiów (również na studia doktoranckie), a także aplikować o stypendia na studia zagraniczne, stypendia językowe oraz staże w Polsce i za granicą.

Z inicjatywy Wójta Gminy Łomazy Jerzego Czyżewskiego w Programie Stypendia Pomostowe po raz trzeci uczestniczy Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „TŁOKA” z siedzibą w Koszalach, rekomendując kandydatów do stypendiów na I rok studiów, którzy oprócz wskazanych kryteriów pracowali na rzecz społeczności lokalnej.

Stypendium w wysokości 5.000 zł (wypłacane w 10 miesięcznych ratach po 500 złotych) otrzymało do tej pory łącznie 15 studentów: w roku akademickim 2015/2016 - 4, 2016/2017 - 6, a 2017/2018 - 5.

w roku akademickim 2015/2016:

- 1) Sinkiewicz Agnieszka - Warszawski Uniwersytet Medyczny,



- 2) Piotrowska Agnieszka - Akademia Górniczo-Hutnicza,
- 3) Kulawiec Grzegorz - Politechnika Warszawska,
- 4) Lewczuk Karol - UMCS,

w roku akademickim 2016/2017:

- 1) Chról Karolina - Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego,
- 2) Hołownia Wioletta - Szkoła Główna Handlowa,
- 3) Lewkowicz Tymoteusz - Politechnika Warszawska,
- 4) Sadowsnik Natalia - Politechnika Warszawska,
- 5) Szutko Mateusz - Uniwersytet Warszawski,
- 6) Telaczyński Artur - Politechnika Warszawska

w roku akademickim 2017/2018:

- 1) Sara Lewkowicz - studentka Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie
- 2) Weronika Bańkowska - studentka Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego
- 3) Karolina Juszcak - studentka Politechniki w Łodzi
- 4) Piotr Wiński - student Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego
- 5) Kamil Kowieski - student Politechniki w Warszawie

Głównym sponsorem wkładu własnego do stypendiów w roku akademickim 2017/2018 (po 450 zł dla studenta) był Jerzy Czyżewski. W poprzednich edycjach sponsorem był również Marian Serhej - przedsiębiorca oraz Przemysław Litwiniuk - przewodniczący Sejmiku Województwa Lubelskiego. Część środków została sfinansowana dzięki darowiznom od osób niezwiązanych z Organizacją i stypendystami.

28 grudnia 2018 roku w Gminnym Ośrodku Kultury w Łomazach podczas posiedzenia XXVII sesji Rady Gminy Łomazy, Magdalena Adamska Członek Stowarzyszenia Kulturalno-Społecznego „TŁOKA” w Koszalach wspólnie z Wójtem Gminy Łomazy wręczyli uroczystie Stypendystom certyfikaty XVI edycji Programu Stypendia Pomostowe Fundacji Edukacyjnej Przedsiębiorczości.

Program jest realizowany przy współpracy Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa (dawniej ANR), Fundacji Centrum im. Profesora Bronisława Gremka i Fundacji Pracownia Badań i Innowacji Społecznych „Stocznia”.

W ramach XVI edycji Programu Stypendiów Pomostowych Fundacja przyznała 650 studentom stypendia na I rok studiów. Na realizację szesnastu edycji programu Partnerzy przeznaczyli 103 miliony zł.

Realizatorem programu jest Fundacja Edukacyjna Przedsiębiorczości w Łodzi.



Rodzinne powitanie wiosny

25 marca 2018 r. w Koszółkach odbyło się „Rodzinne Powitanie Wiosny”. Wzięło w nim udział ponad 30 osób (plus jeden psiak), nie tylko mieszkańców wsi, ale i osób z nią związanych oraz sympatyków, członków stowarzyszenia. W akcji uczestniczyły nawet osoby na co dzień mieszkające w okolicach Gdańska, które przyjechały w odwiedziny do rodziny i postanowiły skorzystać z zaproszenia.



Wydarzenie to rozpoczęło się od przywitania w kręgu - zabawami integrującymi uczestników - dzieci i dorosłych. Zabawy te były symboliczne, np. „Iskierka przyjaźni” ponieważ nawiązywały także do idei, którą chce propagować SSK „Tłoka” - zdrowych, dobrych relacji, pielęgnowania więzi. Te wartości szczególnie będą promowane w nowopowstającym, w budynku starej szkoły - Ośrodku o nazwie „Szkoła Relacji i Edukacji Regionalnej”, którego działanie zostało też za inaugurowane, jeszcze nieoficjalnie - właśnie w tym dniu. Po części zabawowej, nastąpiło omówienie tradycji gaika, zaprezentowanie przygotowanego na tą okazję oraz przyozdobienie innych gałązek kolorowymi wstążkami z bibuły dla każdego dziecka, tak aby każde miało swój mini - gaik. (Gaik to najkrócej tłumacząc - z Wikipedii - ludowe święto słowiańskie poświęcone witaniu wiosny, polegające na obchodzeniu wsi z ozdobionymi roślinami - najczęściej gałęziami lub małymi drzewkami.)

W dalszej części tego wydarzenia, kolorowy korowód rozpoczął wiosenny spacer i ruszył w stronę starej kapliczki. Tam dzieci złożyły kwiaty Maryi i odbyła się krótka modlitwa dziękczynna oraz zawierająca Panu Bogu całe dzieło powstające przy szkole. Następny przystanek wszyscy spacerowicze mieli na terenie dawnych zabudowań dworskich. Tam Pani Elżbieta Tokarska przybliżyła „w pigułce” ciekawą, a jeszcze mało znaną historię Koszół, w tym ułanów, którzy mają tu swoje korzenie. Później udano się nad rzekę Lutnię, gdzie na mostku, Zuzia Telaczyńska (lat 7), odważnie zaśpiewała piosenkę ludową o gaiku.

Następnie, w większości lekko zmarznięci uczestnicy wyruszyli z powrotem na teren szkolny, aby tam ogrzać się przy ognisku i oczywiście posilić się pieczonymi kiełbaskami i kaszanką z rusztu. Atrakcją kulinarną był także „kociołek” - z bardzo smaczną zawartością, przygotowaną przez Wojtkę Telaczyńskiego, który z pasji jest ekologicznym rolnikiem i kucharzem.

Po napełnieniu żołądków, dzieciom zaproponowano jeszcze udział w zabawach integrujących. Teren szkolny, jak za „starych, dobrych lat” rozbrzmiewał śmiechem dzieci, ich wielką radością. Rodzice w tym czasie mogli oddać się bardziej rozmowom i odpoczynkowi. Później, spontanicznie, dzieciaki wyciągnęły dorosłych na boisko - na towarzyski mecz piłki nożnej. A na koniec odbyła się - pewnie ostatnia w tym sezonie - bitwa na śnieżki, bo pod drzewami chował się jeszcze gdzieś biały puch. Pogoda mimo wszystko dopisała, słońce rozgrzewało do radosnej zabawy, a wiosna obudziła także życie w budynku starej szkoły.

Serdecznie dziękujemy:

- Wszystkim Uczestnikom „Rodzinnego Powitania Wiosny” - tym małym i tym dużym - byliście wspaniali i stworzyliście bardzo ciepłą, rodzinną atmosferę.
- Dziennikarzom - Pani Małgorzacie Tymickiej z Radia Lublin i Panu Mariuszowi Maksymiukowi oraz Panu Gwالبertowi Krzewickiemu z Radia Biper - za zainteresowanie naszym wydarzeniem i życzliwe zrelacjonowanie go w swoich reportażach.
- Państwu Grażynie i Krzysztofowi Łojewskim - właścicielom firmy „Gramar” z Włodawy za darowiznę w postaci kiełbas i kaszanki.
- Pani Elżbiecie Tokarskiej - za pomysł z gaikiem, bycie przewodnikiem podczas spaceru i zwiedzania zabudowań dworskich, prace organizacyjne.
- Panu Wojciechowi Telaczyńskiemu - za przygotowywanie i pilnowanie ogniska oraz sfinansowanie strawy dla uczestników w postaci „kociołka”.
- Zuzi Telaczyńskiej - za pomoc w przygotowywaniu małych gaików oraz odśpiewanie piosenki o gaiku.
- Andrzejowi Telaczyńskiemu (lat 5) - za dzielne wspieranie, pomoc tacie i wujkowi w „męskich” robotach.
- Panu Jackowi Adamskiemu - za aktywny udział w przygotowaniach - od tej „męskiej strony” wymagającej siły i krzepy oraz cierpliwe znoszenie coraz bardziej szalonych pomysłów żony;
- Chłopakom, którzy przed rozpoczęciem wydarzenia grali w piłkę nożną na pobliskim boisku, a dali się oderwać do pomocy przy noszeniu ławek, stolików.
- Pani Annie Telaczyńskiej - za zaangażowanie w przygotowania, organizację zabaw dla dzieci.
- Wszystkim, którzy wspierali organizację tego wydarzenia dobrym słowem i kibicowaniem. Zwłaszcza tym, którzy nie styli się rozchorowali, a bardzo chcieli w nim uczestniczyć.

Opracowała: Magdalena Adamska
z ramienia Stowarzyszenia Społeczno - Kulturalnego „Tłoka”



Warsztaty wyplatania palm wielkanocnych

22 marca 2018 roku od godz. 14.00 do 17.00 w Szkole Podstawowej w Huszczy odbyły się warsztaty wyplatania palm wielkanocnych. Wspaniała atmosfera i piękne prace wszystkich uczestników – to zostanie w naszej pamięci. W wydarzeniu tym wzięło udział 41 osób.

Spotkanie rozpoczęło się od przywitania i zabawy integrującej uczestników, później nastąpiło wprowadzenie do tematu – przedstawienie symboliki tradycji palm wielkanocnych, w tym projekcja filmików.

W następnej części odbył się instruktaż i przystąpiono z impetem do działania. Uczestnicy i organizatorzy zadbali o to, by nikomu nie zabrakło materiałów do pracy, każdy mógł wybierać to, co mu się podoba ze zgromadzonych roślin: bukszpanu, suszonych traw i kwiatów, zbóż, barwinka, bazi itp. Celowo spotkanie nie zakończyło się konkursem, nie chcieliśmy wprowadzać elementów rywalizacji, dzieci usłyszały, że każda palma będzie najpiękniejsza – bo zrobiona z serca – dla Jezusa, któremu są one przygotowane. Spotkanie zakończyło się radosną sesją zdjęciową.

Bardzo serdecznie dziękujemy:

- Uczestniczącym dzieciom za duże zaangażowanie, chęci do pracy i piękne jej „owoce” – zielone arcydzieła.
- Uczestniczącym rodzicom – z Łomaz, Huszczy, Koszół – za zapal, wspieranie dzieci i radosną twórczość.

Współorganizatorom:

- Nauczycielom i pracownikom Szkoły Podstawowej w Huszczy a w szczególności – Pani Dyrektor Danucie Pawłowskiej i pozostałym paniom, które również pracowały twórczo i służyły pomocą dzieciom: Danucie Nazarewicz, Joannie Kowalik, Barbarze Hołowni, Reginie Dzyr, Mirosławie Hołowni. Dziękujemy też za niesamowitą gościnę – w tym pyszne kanapeczki i ciasto, oraz kawki, herbatki, napoje oraz bardzo sprawną organizację na miejscu.

- Państwowej Szkole Wyższej im. Jana Pawła II – Zakładowi Pedagogiki, a w szczególności opiekunowi Koła Naukowego Pedagogiki – Panu Sebastianowi Sobczukowi – za koordynację owocnej współpracy oraz pracowitym i otwartym studentkom: Weronice Semeniu, Karolinie Kupisz, Milenie Podskok, Izabeli Panasiuk, Klaudii Dorosz, Karolinie Gadowskiej.

- Pani Dyrektor Szkoły Podstawowej w Łomazach – Bogumile Wińskiej – za reklamę i umożliwienie przejazdu chętnych dzieci z Łomaz do Huszczy – autokarem szkolnym.

- Panu wójtowi Jerzemu Czyżewskiemu – za wspieranie inicjatyw Stowarzyszenia Społeczno – Kulturalnego „Tłoka” – reklamą na stronie Urzędu Gminy Łomazy, kibicowaniem.

- Proboszczowi Parafii Huszcza – księdzu Zdzisławowi Matejukowi – również za otwartość na reklamowanie, ogłaszanie inicjatyw stowarzyszenia.



- Pani Justynie Lesiuk-Klujewskiej ze „Słowa Podlasia” – za życzliwe „reportażowanie” wydarzenia oraz osobom zaangażowanym z ramienia naszego stowarzyszenia:

- „babskiej grupie” : Annie Telaczyńskiej, Iwonie Sobczuk, Krystynie Cydejko, Magdalenie Adamskiej – za całość – od chodzenia po „krzaczorach” w poszukiwaniu odpowiednich traw, gałązek itp. do realizacji przedsięwzięcia do samego końca, a przede wszystkim dobrą zabawę i radość na każdym etapie organizacji.

- „męskiej części” – Cezaremu Nowogrodzkiemu za pomysł na tą inicjatywę, podpowiedzi;

- Wojciechowi Telaczyńskiemu – zwłaszcza za poprowadzenie części integracyjnej spotkania i wprowadzenia w tematykę – świetnego przedstawienia symboliki i znaczenia tej tradycji, oraz Jackowi Adamskiemu i Pawłowi Polkowskiemu za konkretne wsparcie i kibicowanie.

A także wszystkim mamom, tatom, teściom, za pozwolenie na „podkradanie” z ich ogródków wszelkich roślin nadających się do spożytkowania na to wydarzenie.

*Tekst: Magdalena Adamska
Fot. Justyna Lesiuk-Klujewska*



Czuwasz z lasów parczewskich



W 1974 r. w Wydawnictwie Lubelskim ukazała się książka pt. „Czuwasz z lasów parczewskich”, autorstwa Wojciecha Sulewskiego (1930-1974), historyka i publicysty. Opisał on losy Jakowa Nikołajewicza Nikołajewa, który pochodził z miasta Czeboksary (obecnie Rebublika Czuwaska). Jako młody oficer radziecki, po ataku Niemiec na ZSRR został ranny i trafił do niewoli. Latem 1941 r. trafił do obozu jenieckiego w miejscowości Hola koło Białej Podlaskiej. Jesienią 1941 r. udało mu się zbiec z obozu. Utworzył wówczas oddział partyzancki niedaleko wsi Mosty, przybierając pseudonim „Czuwasz”. Teren jego działań partyzanckich obejmował m.in. południową część obecnego powiatu bialskiego. Zginął podczas jednej z potyczek z Niemcami w kolonii Rusiły w listopadzie 1943 r. Poniżej publikujemy fragmenty książki, które odnoszą się m.in. do pomocy zbiegłym z obozów jeńcom radzieckim, której udzielali im mieszkańcy gm. Łomazy (w tym Koszoł).

Szli znowu nocami, zatrzymując się na dzień w lasach, zaroślach i stojących samotnie na polu stodołach. Na zachód od trasy ich wędrówki płynęła płytka i bagnista rzeczka Lutnia. W obrastającej jej brzeg olszynie znaleźli schronienie przed patrolem żandarmerii, który dostrzegł na horyzoncie pierwszego dnia po opuszczeniu kolonii Połoski. Niemców było pięciu, jechali rowerami połą drogą. Po tej przygodzie „Czuwasz” postanowił, że jego grupka będzie posuwała się na południe tylko nocami.

Przechodząc koło Huszczy, wstąpili po żywność do chałupy stojącej na skraju wsi. Zjedli już ostatni kawałek chleba, otrzymanego od bechowców z kolonii Połoski i trzeba było

jakoś zaspokoić dotkliwy głód. Gospodarz, do którego chałupy zapukali, przyjął ich gościnnie i nie okazywał nawet specjalnego zdziwienia na ich widok. Prawdopodobnie żywił już niejednego zbiega z obozu. Gdy „Czuwasz” i jego towarzysze jedli odgrzany kapuśniak, powiedział im, że u sąsiada ukrywa się zbiegły jeńiec radziecki, a w okolicy u różnych gospodarzy jest takich znacznie więcej. „Czuwasza” bardzo zainteresowała ta wiadomość, spytał więc rozmówcę, czy może go skontaktować z ukrywającymi się w pobliżu jeńcem. Gospodarz wyraził zgodę i wysłał najstarszą córkę do sąsiada, szepnąwszy jej najpierw coś na ucho.

Czekali na jej powrót z pół godziny, rozmawiając o wydarzeniach na froncie, aż wreszcie cicho skrzypnęły drzwi i za dziewczyną wszedł do kuchni barczysty blondyn w szarym kaszkiecie i zniszczonej, cywilnej kurtce. Był to Iwan Iwanowicz Niebogato, młodszy lejtnant lotnictwa, który po ucieczce z transportu jeńców ukrywał się u chłopów w Huszczy. Dowiedziawszy się od dziewczyny, kto chce się z nim zobaczyć, przyszedł natychmiast na spotkanie.

Huszczę opuścili już w pięciu, gdyż Niebogato przyłączył się do grupki „Czuwasza”. Okazał się bardzo rozmowny i ciekawie opowiadał zarówno o pierwszych tygodniach wojny, gdy jego bombowiec został zestrzelony koło Orszy na Białorusi, jak i o późniejszym okresie pobytu w niewoli oraz o udanej ucieczce. Młodszy lejtnant nie mógł się dość nachwalić gościnności i ofiarności mieszkańców Huszczy, u których ukrywał się ponad miesiąc. (...)

Kolejny postój urządzili w małej wiosce Koszoły nad Lutnią, gdzie zajęli na odpoczynek dwa sąsiadujące z sobą gospodarstwa. Zmęczeni długim marszem zjedli trochę chleba i mleka, którym poczęstowały ich gospodynie, a następnie pokładli się na podłodze chałup, zaścielonej przyniesioną ze stodoły słomą i zasnęli twardym snem. Czuwali tylko wartownicy, ale ich także zmorzyło zmęczenie.

„Czuwasz” obudził się nad ranem z dławiącym poczuciem niebezpieczeństwa. Unosząc głowę ze słomy spojrzął w okno naprzeciw i zdrętwiał. Przez szybę zaglądał do izby ukraiński policjant w czarnej furazerce.

Teraz wszystko zaczęło się dziać szybciej niż na kowbojskim filmie. „Czuwasz” rąbnął z pepesz w okno i skoczył do drzwi, a w ślad za nim tłoczyli się obudzeni strzałami partyzanci. Wypadli na podwórze równocześnie z ukraińskimi policjantami, którzy nadbiegli od strony drogi. W furtce uderzyły w napastników serie kul z pepesz. To strzelali gwardziści, nocujący w sąsiedniej chałupie. Dwaj policjanci przewrócili się na ziemię, tarasując ciałami furtkę, pozostali cofnęli się i zaczęli uciekać w głąb wsi. Gwardziści ruszyli za nimi w pogoń; partyzant Czubacki dopadł i zabił podoficera policji, zabierając mu erkaem. Wkrótce pluton „Ukrainische Hilfspolizei” został całkowicie rozproszony. (...) „Czuwasz” nie dowiedział się nigdy, czy policjant, który zajrzał do chałupy, gdzie spali gwardziści, zrobił to przypadkowo, czy też ktoś go zawiadomił, że nocują tam „leśni”. Wartownicy niczego nie zauważyli, o co dowódca miał do nich wielką pretensję.



Obóz naukowo-badawczy

W dniach 18-21 listopada 2017 r. na terenie gminy Łomazy został zorganizowany przez Instytut Filologii Polskiej UMCS oraz Studenckie Koło Naukowe Etnolingwistów UMCS obóz naukowo-badawczy. Wspierają go organizacyjnie władze gminy Łomazy oraz jako koordynator merytoryczny Cezary Nowogrodzki ze Stowarzyszenia TŁOKA.

Celem podjętych badań jest realizacja projektu „Minisłownik gwary mieszkańców gminy Łomazy”. Jego wykonawcami są studenci ze Studenckiego Koła Naukowego Etnolingwistów UMCS pracujący pod opieką naukową dr Joanny Szadury (IFP UMCS) i mgr Beaty Maksymiuk-Pacek (Pracownia „Archiwum Etnolingwistyczne” UMCS).

Projekt ma charakter wieloetapowy – obejmuje badania monitorujące ogólny stan gwar Południowego Podlasia, przeprowadzenie wywiadów kwestionariuszowych, transkrypcję rozmów oraz zarchiwizowanie ich w Pracowni Archiwum. Zebrany materiał stanie się podstawą opracowań naukowych, zasili



m.in. bazę źródłową powstającego pod redakcją naukową profesora Jerzego Bartmińskiego „Słownika stereotypów i symboli ludowych”. W ramach realizacji pierwszego etapu prac zbierackich będą gromadzone informacje na temat wesela i weselnego pieczywa obrzędowego. Wywiady terenowe będą prowadzone w miejscu zamieszkania rozmówców, na podstawie kwestionariuszy etnolin-

gwistycznych przez trzy samodzielne zespoły.

Mamy nadzieję, że podjęte w ramach projektu działania będą początkiem owocnej współpracy, której zwieńczeniem stanie się monograficzne opracowanie języka i kultury mieszkańców gminy Łomazy.

Źródło: www.lomazy.pl

KOLOROWANKA DLA NAJMŁODSZYCH





KĄCIK POETYCKI

Henryk J. Kozak

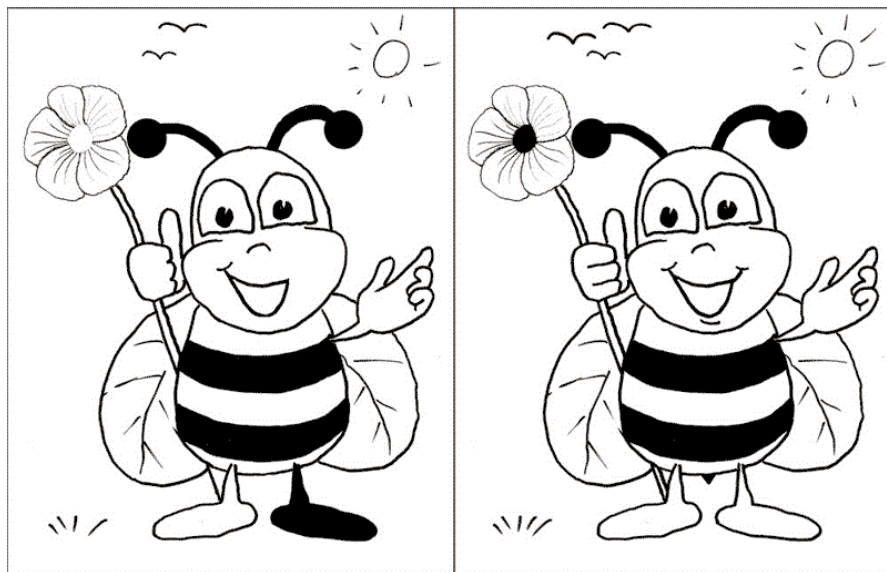
Zima 2006

*przenosiłem się w tamte czasy kiedy
Podlasie było jeszcze młode
dąb i grusza na podwórku
ledwie sięgały stodołnej strzechy
a przydrożny wiąz
bez straty liścia*

*przemykał nawet w czasie burzy
pod telefonicznymi drutami
na drugą stronę drogi kiedy
wiosenne roztopy
przelewały się przez wioskę
zatapiały bialski gościniec
i aż do Wielkanocy
wypełniały torfiarnie i rowy
kiedy podwórka nie były jeszcze
zamknięte za betonowymi płytami
dziećmi byli sąsiedzi i kiedy
chowaliśmy się po bezkresnych
majowych żytach a w niedziele
chodziliśmy całą gromadą
z kłomlą
nad Kulkówkę na ryby*

*przenosiłem się w miejsca których
już nie ma
i bezskutecznie gorączkowo
poszukiwałem tych którzy
jeszcze pamiętają
lub wierzą
że jednak były*

Rysunki różnią się 10 szczegółami. Znajdźcie te różnice.



OD UCHA DO UCHA

Dzwoni żona do męża:

- Kochanie urwałam lustro w samochodzie.
- Jak to się stało?!
- Dachowałam...

U okulisty:

- Jaką literę pokazuję?
- A gdzie pan jest?

Gość w hotelu zamówił budzenie telefoniczne.

Rano budzi go miły głos:

- Czy to pan zamawiał budzenie na siódmą?
- Tak.
- No to szybciej, bo jest już dziewiąta.

Do apteki wpada Jasiu cały błady i drżący:

- Czy ma pani jakieś środki przeciwbólowe?
- A co cię boli chłopcze?
- Jeszcze nic, ale tata właśnie ogląda moje świadectwo.

Kelner, hej, kelner!

- Słucham pana...

- Nie odpowiada mi ta zupa.

- A o co ją pan pytał?

Przyszłbyś kiedyś do mnie, mam nowego pieska.

- A nie pogryzie mnie?
- Właśnie chciałbym to sprawdzić...

Mój wujek kandydował w ostatnich wyborach do Sejmu.

- Serio? I co teraz robi?
- Nic, wybrali go...

W odpowiedzi na pana podanie o podwyżkę muszę odmówić. Nie stać nas, żeby płacić panu więcej.

- To może chociaż częściej?

Żona pyta męża:

- Kochanie jesteś pewny?
- Czego? –

- No, że w czasie meczu telewizor zużywa o 78 procent mniej prądu niż podczas serialu.

Wybrał: S.H.

REDAKCJA

Opracowanie i redakcja:
Sławomir Hordejuk

Współpraca: Ela Wołosowicz,
Magdalena Adamska,
Cezary Nowogrodzki

Wydawca: Stowarzyszenie
Społeczno-Kulturalne
„Tłoka”. Koszów 40
21-532 Łomazy
www.tloka.pl

Kontakt: kom. 663 267 487
E-mail: slawomirh@o2.pl
Nakład: 200 egz.

Skład i Druk:
www.openpress.pl